

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 3 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. **Kraków, 17 czerwca 1916.** **Nr. 25.**

Święto Czwartaków.



Obchód rocznicy 4-go pułku Legionów polskich na froncie. 1) Msza polowa. 2) Obiad Na pierwszym planie siedzą: prof. Wyczółkowski, ks. biskup Bandurski jenerał Puchalski, książę Lubomirski i pułkownik Januszajtis. 3) Kazanie ks. biskupa Bandurskiego w kaplicy 4-go pułku Legionów polskich. 4) Śniadanie gości w udekorowanym namiocie. 5) Kom. „Czwartaków" pułk. Roja z kapitanem Eydziatowiczem w oczekiwaniu na gości.
(Nr. 3 fot. chor. Chodorowski.) (Nr. 1, 2, 4, 5 fot. R. Martula.)

Swięto Czwartaków.

Dzień 28 maja b. r. pamiętny to dzień w życiu nie tylko Czwartaków, ale całych Legionów polskich,





(Fot. chorąży Niedźwiecki). **Swięto „Czwartaków":** (Fot. chor. Chodorowski).

Brygadyer Piłsudski i ks. biskup Bandurski na uroczystości. Chór Węgrów (w głębi) śpiewa podczas uroczystości.

gdyż dnia tego całe Legiony przez swe najwyższe reprezentacye uczestniczyły w pięknem święcie rocznicy istnienia 4-go pułku. Pułk ten ma nie tylko chlubne tradycye z roku 1831-go, ale już własne roczne dzieje trudów i walk od Jastkowa, Kozłówki,



Medal Legionów dla Monarchy: Złoty medal, wręczony arc. Izabelli przez deputacyę Legionów polskich.

Woli Ossowińskiej aż przez Hulewicze po Korzyszcze. Imię komendanta Czwartaków, pułkownika Bolesława Roji, słynie dziś już po całej Polsce!

Przed rozpoczęciem uroczystości wręczyli mu oficerowie honorową szablę pamiątkową pięknej roboty, która dlań będzie najmilszą pamiątką tej wielkiej wojny, jak się ze wzruszeniem do tego przyznał. Po przyjeździe gości wygłosił w czasie mszy polowej porywające kazanie ks. biskup Wł. Bandurski, otaczany miłością i hołdem żołnierzy i oficerów polskich. „Otoś we krwi swojej — ale żyw! (Ezechiel)" i słowa Kościuszki do cara wyrzeczone: „Obym ja był raczej zapomnianym — byleby Ojczyzna moja wolną była!" oto talizman, którym powiązał dusze żołnierskie, na służbie Rzeczypospolitej trwające, na zawsze węzłem nierozerwalnej jedności!

Defilada pod komendą kapitana Zulaufa dała możność gościom oglądania prześlicznej sprawności Czwartaków. Każdy ruch na słowo komendy był wykonany tak, jak padająca salwa grzmiąca niby strzał jeden wielkiej masy.

Na uroczystość przybyli: ks. biskup Bandurski, książę Andrzej Lubomirski, jako reprezentant polskiej arystokracyi i N. K. N., prokurator Habicht, inżynier Downarowicz i prof. dr. Tad. St. Grabowski, reprezentanci N. K. N. i Departamentu Wojskowego. Komenda Legionów z generałem St. Puchalskim, komenda grupy z pułkownikiem Zielińskim, Departament wojskowy (podpułkownik Sikorski), wreszcie wszystkie Brygady (Brygadyer Piłsudski, pułkownik Küttner i generał major Grzesicki), oraz wszystkie pułki i oddziały (prócz piechoty ułani i artylerya) Legionów.

Goście, zwiedziwszy wystawę, udali się na strzelnicę przy drugim batalionie (kapitan Sikorski kierował strzelaniem). Pierwszą nagrodę wziął pułkownik Rydz Śmigły. Nagród było 12 oficerskich i 30 żołnierskich (pierwszą żołnierską 100 koron od pułkownika Roji i dukat od ks. biskupa Bandurskiego, wziął Czwartak, plutonowy Lewicki).

W czasie gwarnego obiadu w olbrzymim pawilonie wygłoszono szereg mów nie tylko okolicznościowych i omawiających znaczenie 4-go p. p., ale zaznaczających jedność i niezniszczalność Legionów polskich, podnosząc wybitne zasługi generała Puchalskiego w tym względzie i oddając hołd ich twórcy, brygadyerowi Piłsudskiemu.

Następnie rozegrały się turnieje szermierskie, dano żołnierski kabaret z muzykami i chórem (Czwartaków i sąsiadów Madziarów), wreszcie między czwartym a piątym pułkiem match, skończony zwycięstwem Czwartaków (3 : 0). Po kolacyi dało przedstawienie kino pułkowe.

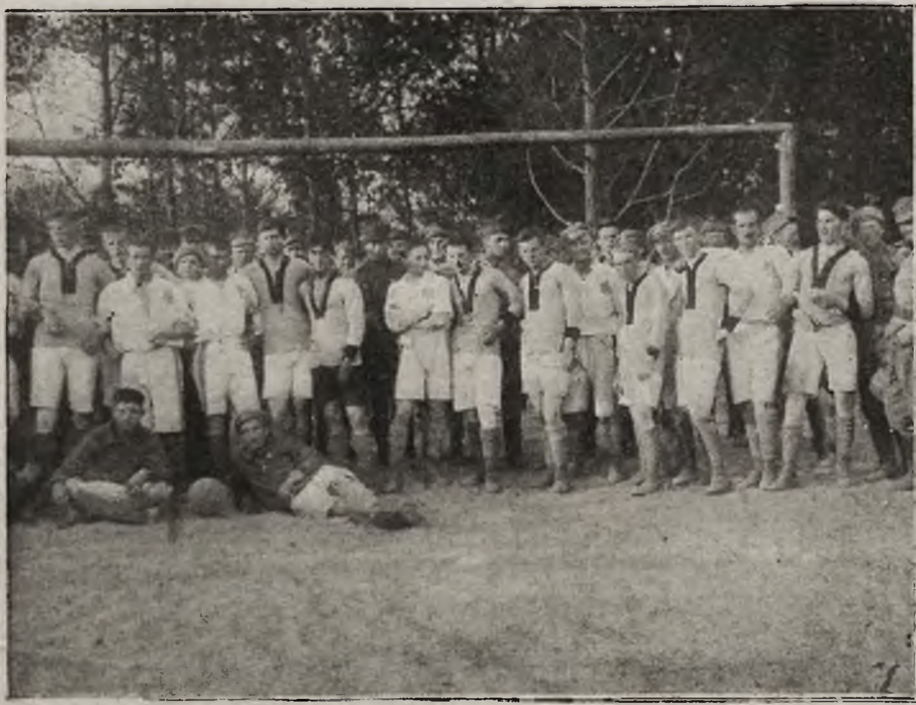
Podniosły nastrój wzmagała ogólna wesołość, uprzejmość Czwartaków, podejmujących zacnych i kochanych gości z całem oddaniem, to też dzień ten — jeszcze jeden krok naprzód do zbratania się wszystkich oddziałów legionowych — dobrze zapisał się w dziejach wewnętrznej organizacyi Legionów polskich. *J. A. T.*

Medal Legionów dla Monarchy.

Niedawno zjawiła się u małżonki naczelnego wodza armii, arcyksięcia Fryderyka, deputacya Legionów



Medal Legionów dla Monarchy: Deputacya, która zawiozła medal pamiątkowy Legionów do Wiednia. Od lewej do prawej stoją: Szef D. W. N. K. N. pułk. Sikorski, pułk. Januszajtis, prof. hr Mycielski, pułk. Sosnkowski i major Galica





Drużyny footbalowe „Cwartaków“ i I-ej brygady. **Swięto „Czwartaków“:** Goście na matschu footbalowym (Fot Rud. Mertula).

polskich, która wręczyła arcyksiężnie Izabelli złoty medal, na jej cześć wybity.

W skład deputacyi wchodzili: pułkownik Sosnkowski imieniem I. brygady, pułkownik Januszajtis imieniem II. brygady, major Galica imieniem III. brygady i pułkownik Sikorski imieniem Departamentu wojskowego N. K. N.

Deputacyę przedstawił arcyksiężnie prof. hr. Jerzy Mycielski, jako prezes komitetów, które pod protektoratem arcyksiężny Izabelli urządzały wystawy artystyczne w Wiedniu i w Krakowie na rzecz Legionów.

Na mowę, wygłoszoną przez pułkownika Januszajtisa, arcyksiężna odpowiedziała nader łaskawie, przyjmując ofiarowany medal, poczem zaprosiła delegacyę na śniadanie.

Medal, pomysłu rzeźbiarza Chodzińskiego, zawiera po jednej stronie wizerunek arcyksiężny w pięknem ujęciu stylowem, po drugiej stronie piechur legionowy (Józef hr. Michałowski) i Beliniak (Baworowski) przedzieleni napisem łacińskim: „Protektorce Legionów polskich, miłosiernej i dobroczynnej opiekunce wygnańców“.

Wieczorem o godzinie piątej ta sama deputacya wręczyła pułkownikowi Marguttiemu drugi egzemplarz medalu dla cesarza.

Oba medale odlane są ze złota, ofiarowanego w swoim czasie przez społeczeństwo na rzecz Legionów polskich.

Tragiczny zgon angielskiego ministra wojny.

Wśród tylu ciosów, jakie otrzymała Anglia w obecnej wojnie, dotknął ją niewątpliwie najdotkliwszy — zatonięcie lorda Kitchenera wraz z całym sztabem na „Hampshire“ w drodze do Rosyi. Anglia odczuła to jako prawdziwe nieszczęście narodowe i nic dziwnego. Wszystko, co dotychczas stracić mogła: żołnierze, działa, okręty i pieniądze, to wszystko było tylko narzędziem w rękach nieugiętego kierownika armii angielskiej, który był



Tragiczny zgon angielskiego ministra wojny: Lord Kitchener.

niewątpliwie „spiritus movens“ wszystkich poczynań militarnych Anglii.

Nie mniejsze znaczenie ma śmierć Kitchenera dla koalicyi. Był on wodzem wielkiej rady wojennej sprzymierzonych, który dzierżył w swej dłoni więcej, aniżeli komendę nad jednym specyalnie terenem wojny. Jego opinia miała dla ogólnego kierownictwa wojennego we wszystkich kwestyach największe znaczenie. Świadczy o tem ostatecznie jego tragiczna podróż do Rosyi, dokąd jechał z swym sztabem, aby wziąć udział w naradach politycznych i wojennych. Tragiczna śmierć jego wywołała też na całym świecie piorunujące wrażenie, a dla Anglii i sprzymierzonych stała się ciężkim ciosem w najkrytyczniejszym momencie wojny.

Trzeba bowiem pamiętać, że lord Kitchener był chlubą i nadzieją Anglii. Dzielny żołnierz, który w roku 1870 walczył jako ochotnik w armii francuskiej, zdobył zwycięskie laury w licznych kampaniach i okrył się sławą jako wódz armii egipskiej i pogromca Mahdiego. To też w nim pokładano największe nadzieje, które zniszczyła jedna torpeda niemiecka.

XX. wystawa „Sztuki“ w Krakowie.

Wbrew zasadzie „inter arma silent Musae“, obecny czas wojenny nie stłumił bynajmniej pracy twórczej naszych artystów, którzy wystąpili znów z plonem artystycznym swej twórczości w krakowskim Pałacu sztuki. Otwarta tam XX. wystawa „Sztuki“, choć pod względem liczby biorących w niej udział artystów nie dorównuje poprzednim, co łatwo wytłomaczyć trudnościami komunikacyjnemi, daje zato większe kolekcye ich dzieł i pełniejszy obraz ich twórczości.

W szeregu wystawców występują z większymi zbiorami Julian Fałat oraz Wojciech Weiss, a po za tymi artystami biorą udział w wystawie: prof. Axentowicz, Filipkiewicz, Kamocki, Mehoffer i Wyczółkowski, a dalej: Markowicz, Mierzejewski, Mitarski, Niesiołowski Tymon, Pronaszko i Z. Terlecki. Całości wystawy dopełnia szereg akwafort, litografii i drzeworytów.



XX. wystawa „Sztuki“ w Krakowie: Sala z obrazami prof. Weissa i J. Fałata.



XX. wystawa „Sztuki" w Krakowie: Fragment sali z obrazami prof. Mehofera i prof. Weissa.

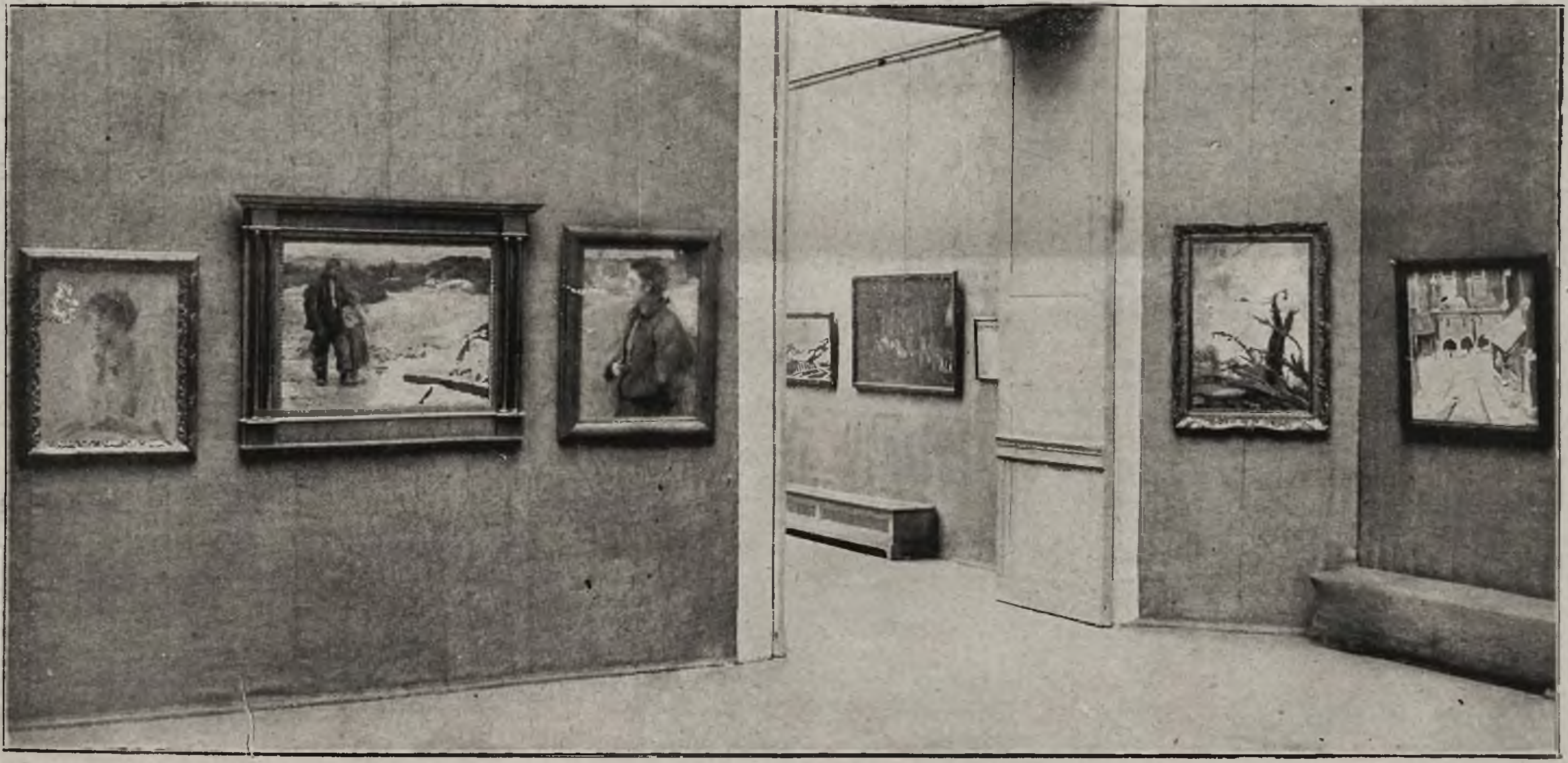




Swięto „Czwartaków:

Galerya obrazów malarzy legionowych na froncie, chor. Wodzinowskiego, L. Gotlieba i chor. Czechowskiego. (Fot. J. Chodorowski.)

Widzowie i wykonawcy kabaretu (w środku przebrany Legionista). (Fot. Rud. Martula).



XX. wystawa „Sztuki" w Krakowie: Fragment sali z obrazami prof. Axentowicza

ADAM WIARYGA MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

10

Stracił do tego stopnia panowanie nad sobą, że zapominając o chytrości, rzekł porywczo:

— Pani dobrodziejka egzaltuje się, przesadza, bardzo może szlachetnie, ale szczerze powiedzieć muszę — po kobiecemu...

Pani Krystyna drgnęła zdziwiona.

Potyrowski przyzwyczaił ją do swoich pochlebstw i komplementów, spodziewała się więc i teraz słów uznania i podziwu...

Ton głosu Potyrowskiego zabrzmiał jej w uszach przykrym zgrzytem. Spojrzała uważnie na swego towarzysza. Wydawał się w tej chwili mniej sympatycznym, niż zwykle.

Po raz pierwszy uderzyło ją, że Potyrowski ma w oczach jakieś niemiłe, zielonawe ogniki.

Spostrzegła także, że wytworna elegancya „pana inżyniera" straciła dużo na swej świeżości. W tem podniszczonym paltocie i wytartym cylindrze robił wrażenie bardzo mizernej i trochę śmiesznej figury.

Pani Wolska spojrzała na Potyrowskiego ostro i bardzo chłodno zapytała:

— Jak pan to rozumie?

— Potyrowski opamiętał się już i klął w duchu swoje uniesienie, w którem nieopatrznie uchylił rąbek swej maski.

— To może kaprys chwilowy — pomyślał — trzeba pochlebiać tej głupiej babie i podbijać jej „bębenka", a w odpowiedniej chwili da się to wykorzystać.

Zawrócił też z miejsca, starając się wypróbowaną bronią pochlebstwa naprawić poprzedni błąd.

— Jak ja to rozumiem?... Ależ zupełnie poprostu, pani dobrodziejko... Bez wątpienia, że to zadanie, które pani dobrodziejka sobie postawiła, jest szczytne, szlachetne, godne złotego serca kobiecego, podniosłego umysłu pani dobrodziejki. — Ja służę moją skromną radą i pomocą w tem pięknem dziele... Chciałem tylko zaznaczyć, że to cel nie jedyny, że burzliwe czasy, w jakich żyjemy, inne jeszcze cele wysuwają...

Pani Krystyna odczuła jednak fałszywy ton w słowach Potyrowskiego. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może niechęć Anielki do Potyrowskiego nie była tak bardzo nieuzasadnioną, jak jej się dotychczas wydawało.

Potyrowski pomimo, że pani Krystyna nie zachęcała go więcej ani jednem słowem, poszedł z nią do księgarni. Przy zakupnie książek mówił bardzo dużo, doradzał, wypowiadał swoje zdania i sądy, starając się okazać użytecznym i kompetentnym.

Ale nieufność, która zakiełkowała w umyśle pani Wolskiej, nie ustępowała. Pani Krystyna zachowywała się grzecznie, ale chłodno. W wyborze książek polegała wyłącznie na własnem zdaniu, zwłaszcza kiedy spostrzegła wkrótce, że Potyrowski usiłuje podsuwać jej tylko najtańsze wydawnictwa.

Potyrowski odprowadzając panią Krystynę, spodziewał się zaproszenia i zawiódł się.

— Psiakrew! — zaklął pan „inżynier" — A to pech!... Nawet na „składkę" nie można jej było dzisiaj naciągnąć!... No, no, moja pani, niechże ci się nie zdaje, że Potyrowskiego można usunąć tak sobie machnięciem ręki. Porachujemy się jeszcze, jeżeli nie w ten, to w inny sposób...

Potyrowski, idąc ulicą, obmyślał plan dalszego swego postępowania, które go miało przywrócić do łask i zaufania bogatej wdowy...

Gdyby się to nie udało — ha, wtedy...

W tej chwili spostrzegł mijającego go w przechodzie Koncewicza.

Anemiczny młodzieniec udał, że nie widzi Potyrowskiego i nie ukłonił się. Potyrowski pospiesznie zdjął z głowy swój wytarty już nieco cylinder i z wyciągniętą ręką podbiegł ku Koncewiczowi.

— Kochanego pana witam! Tak dawno nie widzieliśmy się.

Koncewicz był zdziwiony tą niezwykłą serdecznością i trochę nieufnie spojrzał na „inżyniera", ale wyciągniętą dłoń uścisnął.

— Jakże się cieszę, że pana widzę... Stęskniłem się poprostu za pańskiem towarzystwem...

Koncewicz zdumiał się — ale leniwa myśl jego nie mogła i nie usiłowała nawet zgłębić powodów tej nagłej zmiany.

— Dawno nie widziałem już pana — ciągnął dalej Potyrowski, ujmując młodzieńca z przyjacielską poufałością pod ramię — w towarzystwie pani Wolskiej i jej siostrzenicy... Tak... tak... ktoś tam wpływa fatalnie na te panie... Ten Królewiak, ten jakiś tam Montwiłł — nie wiadomo, kto to właściwie jest — wcisnął się do tego domu i obałamuca naiwne kobiety... Staram się wprawdzie przeciwdziałać temu, a pochlebiam sobie, że cieszę się zaufaniem pani Wolskiej... Już tyle razy mówiłem, tłomaczyłem pani Krystynie, że jedyną odpowiednią partyą dla jej siostrzenicy byłby młodzieniec tak skromny, dystyngowany, inteligentny, jak pan... Daruje pan, że tak szczerze o tem mówię, ale spostrzegłem pańskie zamiary, a ponieważ żywię dla pana specyalną sympatyę...

Koncewicz własnym uszom nie wierzył.

— Jakto, to pan namawiał panią Wolską, żeby wydała za mnie pannę Anielkę?...

— Ale ileż razy... Chyba nie omyliłem się, konstatując, że pańskie tajemne życzenia w tym się zwracają kierunku... Nic dziwnego zresztą... Panna niczego, można nawet powiedzieć szczerze, bardzo ładna, no i posażek niezgorszy, wcale niezgorszy... Chciałem więc panu, o ile możności, dopomódz..

Zdumienie Koncewicza nie miało granic.

— No, wie pan! — Jabym był tego nigdy nie przypuścił... Mnie się zdawało przeciwnie, że pan chce mnie stamtąd wysadzić, a sam ożenić się już nie wiem z kim, z panną Anielką, czy z samą panią Wolską...

Potyrowski wybuchnął głośnym śmiechem.

— Co pan mówi, panie drogi?! Ja i żenić się?! Ha! ha! ha! Cenię wysoko panią Wolską, lubię jej towarzystwo jako miłej osoby z mojej sfery, sympatyzuję z panną Anielką, ale myśl o małżeństwie w tym wypadku jest absurdem... Panie kochany, ja mam narzeczoną, o którą dręczy mnie ciągle trwoga i niepokój... Niestety, musiała zostać w Galicyi, bo rodzice jej nie chcieli opuścić swoich dóbr... Nawiasem mówiąc to jedna z najposażniejszych panien w Galicyi... Więc pan mnie uważał za konkurenta?! Nie, doprawdy, to paradne!...

Koncewicz innemi już zupełnie oczyma zaczynał patrzeć na Potyrowskiego. Dochodził do przekonania, że to bardzo sympatyczny człowiek.

— No widzi pan, jak to można się omylić. Z pana taki dobry, porządny człowiek, a ja zupełnie inaczej o panu myślałem... A niektórzy znajomi moi to nawet mówili, że z pana to numer, ptaszek...

Potyrowski nie zdradzał ani jednem drgnieniem twarzy, że ostatnie słowa zrobiły na nim jakiekolwiek wrażenie. Lekceważąco machnął ręką.

— Ach! Drogi panie, zawiść ludzka jest niezgłębiona i nieograniczona... Nie troszczyłem się o nią nigdy... A zresztą stara, złota zasada mądrości powiada: wartość człowieka mierzy się lichością jego nieprzyjaciół... No, niema o czem mówić, szkoda słów... Może lepiej wstąpilibyśmy gdzie na piwo? Tak przed obiadkiem nie zaszkodzi.

— Ależ najchętniej, pójdziemy chyba do „Fleku". Tam najlepsze czarne piwo!

— Doskonale! Ale ja pana proszę — zastrzegał się Potyrowski.

— Ależ nie, nie! — protestował rozczulony odkryciem nowego przyjaciela Koncewicz — Niechże mi pan zrobi tę przyjemność i będzie moim gościem.

— Ależ drogi panie Witoldzie...

— Panie Alfredzie, proszę pana...

— No, jeżeli drogi pan tak nalega, to na przypieczętowanie naszej znajomości niechże będzie... Powetuję to sobie innym razem!... Chodźmy!

— — — — — — — — — — — — —

Do pokoju, który obecnie zajmował Potyrowski, weszła Wikcia Pasternak. Krytycznem spojrzeniem objęła ściany pomalowane na kolor pomidorowy i odrapane już trochę, blaszaną miednicę na stołku, stare meble z wypełzłą politurą i wzruszyła ramionami.

— Phi! To z panem krucho, „bryndza". Dawniej u pana inaczej wyglądało... No, to mnie się lepiej powodzi.

Istotnie w powierzchowności Wikci zaszły korzystne zmiany... Miała na nogach nowe buciki, ubrana była w zgrabnie skrojoną spódnicę, białą bluzkę i porządny żakiet... Głowę miała owiniętą miękkim, granatowym szalem...

Były to wszystko podarunki hojnej zawsze dla swojej służby pani Wolskiej...

Zmieniła się także twarz Wikci... Cera straciła dużo ze swej żółtości, dziewczyna wybielała, utyła nieco, nabrała rumieńców... Uczesana była skromniej, w czem było jej daleko więcej do twarzy.

Potyrowski siedział przy stole i nerwowo kręcił papierosa.

— Siadaj Wikciu...

— Dawniej to mnie pan nie prosił siadać...

— Słuchajno, nie bądź przemądra i nie zapominaj komu zawdzięczasz to, że ci się teraz dobrze powodzi... Pamiętaj także o tem, że jeżeli zechcę, to możesz w każdej chwili stracić służbę!

— O! A to niby jak, kiedy pani ze mnie zadowolona?! Ja się bardzo staram...

— A jakbym ja tak pani opowiedział pewne rzeczy o tobie i Ignacu?...

Pogróżka podziałała. Wikcia przestraszyła się i spokorniała.

— Ale pan tego nie zrobi, pan nic nie powie, mój panie...

— Nie powiem, jeżeli będziesz się wobec mnie zachowywała jak należy!

— Już będę, mój drogi panie, tylko niech ja zostanę... Coby Ignac powiedział na to, jakbym ja takie dobre miejsce straciła!

— No dobrze, a teraz odpowiadaj na moje pytania — tylko szczerą prawdę... nie próbuj kłamać...

— Ja prawdę powiem! Co pan chce wiedzieć?

— Czy słyszałaś kiedy, żeby pani albo panienka rozmawiały o mnie?

Wikcia zamyśliła się przez chwilę, przypominała sobie.

— Nie! pani nigdy nie mówiła o panu... Nie słyszałam... Tylko ten młody pan, blondyn, taki ładny, co nieraz do nas przychodzi, to mówił do panienki, że pan jest... Jak to on jakoś tak śmiesznie pana nazwał... Zaraz sobie przypomnę... Aha! Już wiem... jendy... jendywidyum... Nie wiem, co to znaczy...

— Hm... tak... A co panienka na to odpowiedziała?

— Nie dosłyszałam, bo mnie pani właśnie w tej chwili zawołała.

— A kto tam bywa u pani? Pan Koncewicz przychodzi?

— Przychodzi, ale niebardzo często... i zawsze tak wyspekuluje, żeby na obiad albo kolacyę trafić.

Potyrowski westchnął na wspomnienie wykwintnego jedzenia u pani Wolskiej.

On teraz zmuszony był jadać obiady bardzo podejrzanej jakości w trzeciorzędnej garkuchni.

— No, któż tam więcej bywa? — pytał dalej.

— No ten ładny młody pan, co mu panie mówią: panie Stanisławie, różne panie i panienki i kilku starszych panów... Bardzo godni panowie, nigdy nie odejdą, żeby porządnego tryngla nie zostawili...

— Więcej nie bywa nikt?

— Nikt!

— A pani Wolska co robi teraz?

— O! pani to już całkiem zwaryowała z tymi żołnierzami, co po szpitalach leżą!... W pokoju pani to teraz wygląda, jak w jakim sklepie... Czego tam niema... Książki, gazety, owoce, cukierki, flaszki wina i koniaku, no trudno wyliczyć wszystko!... Codzień nowe rzeczy przynoszą ze sklepu, a pani to wszystko do szpitalów wywłóczy... Jak też jej pieniędzy nie szkoda... Ileby to zato można kupić ślicznych bluzek, jedwabnych pończoch, kapeluszy z piórami, bucików „szewro" okładanych lakierem... No, ale wiadomo, że bogate panie, to zawsze muszą mieć jakiegoś bzika — zakończyła Wikcia...

— Psiakrew! — syknął przez zęby Potyrowski.

Opanował się jednak, nie chcąc się zdradzić przed dziewczyną i spokojnie mówił dalej:

— Pamiętaj Wikciu, uważaj czy i jakie listy pani dostaje... Jakbyś mogła skręcić jaki list i przynieść do mnie, to byłoby najlepiej... Zapamiętaj sobie, kto u pani bywa... Jeżeliby tam mówiono coś o mnie, to masz mi zaraz donieść.

Małe oczka Wikci zaśmiały się chytrze.

— Ale to ci pan coś śpekuluje!...

— To nie twoja rzecz! Masz robić, co ci poleciłem, bo inaczej pożegnaj się z Ignacem...

— Nie! nie panie złoty, ja już to wszystko zrobię, co pan chce, żebym tylko tej służby nie straciła i żeby mnie Ignac nie opuścił!... To niech już będzie sekret za sekret!

— Zgoda! — odpowiedział zadowolony z wyniku rozmowy Potyrowski.

ROZDZIAŁ XI

— Wyobraź sobie, Anielko — opowiadała z ożywieniem przy obiedzie pani Krystyna siostrzenicy — co za bajeczny typ poznałam dzisiaj w szpitalu na Vinohradach!... Młody chłopiec, ma dwadzieścia pięć lat najwyżej, murarz z Krakowa. Jeden z tych dzielnych „trzynastaków", „krakowskich dzieci", o których się tyle słyszy i czyta. Powiadam ci, niezrównany ma sposób mówienia!... Był ciężko ranny w głowę, więc pytam go: „Pójdzie pan jeszcze do pola?" A on mi na to: „A cóż, może pani za mnie pójdzie?!"

Pani Krystyna ze śmiechem usiłowała naśladować specyalny akcent gwary przedmieść krakowskich.

— On nie miał wcale zamiaru być niegrzecznym — ciągnęła dalej — nie! Przeciwnie, to bardzo grzeczny i miły chłopiec, tak serdecznie dziękował za książki i papierosy, które mu przyniosłam. Tylko on tak się już wyraża i to jest niesłychanie zabawne. Na przykład w mojej obecności pyta go jeden z kolegów o jakąś znajomą, a mój zuch krakowski odpowiada: „Cóż to ja mam znać wszystkie baby stare i młode w Krakowie? A do chrzanu mi potrzebne!“ Uśmiałam się serdecznie... Nie przypuszczałam nigdy, aby wśród ludzi z niższych sfer można było spotkać takie ciekawe typy... Rozmawiałam na przykład z pewnym starszym już Legionistą, z zawodu majstrem szewskim... Kiedy wybuchła wojna, zamknął warsztat i razem ze synem swoim, piętnastoletnim chłopcem, poszedł do Legionów... Skarżył się gorzko, że żona jego ciężką ma teraz dolę w barakach choceńskich... Ale, Anielko, co tobie? Ty przecież wcale nie słuchasz tego, co do ciebie mówię!... I jak ty dziwnie wyglądasz? Czyś ty czasem nie chora, moje dziecko?!

Anielka rzeczywiście wyglądała i zachowywała się zupełnie inaczej, niż zwykle. Na policzkach miała wypieki, usta spalone, jakby gorączką, oczy jej świeciły jakimś niezwykłym blaskiem... Spoglądała, jakby nawpół przytomnie, uśmiechała się wtedy, kiedy nie było do tego żadnego powodu i popełniała przy stole cały szereg roztargnień... Sypała cukier do zupy, soliła kompot, nalewała wody do pełnej już szklanki.

— Anielko! — zawołała ciotka z przestrachem, widząc, że siostrzenica kraje sobie trzecią kromkę chleba, chociaż dwóch poprzednich nie tknęła. — Co ty wyrabiasz, co ci jest?! Mówże coś...

Anielka drgnęła i przesunęła ręką po rozpalonem czole, jakby budząc się ze snu...

— Co mi jest... Nic... nic... przepraszam ciocię... to jest właściwie... głowa mnie boli trochę...

— Poślę po doktora!

— Nie trzeba, ciociu, nie, to przejdzie, to takie chwilowe zmęczenie, nic więcej...

— Naturalnie zamęczasz się tymi dyżurami i lekcyami w ochronce... Połóżże się zaraz i prześpij się trochę...

— Dobrze, ciociu... istotnie czuję się senna... Czy mogę już wstać od stołu... nie mam apetytu...

— Ależ idź, moja maleńka, połóż się, odpocznij... Może chcesz aspiryny?...

— Dziękuję, ciociu, nie będę zażywała żadnych proszków. To przejdzie samo...

Anielka pobiegła spieszuie do swego pokoju i rzuciła się na sofę, tuląc rozpaloną twarz do chłodnego jedwabiu poduszki.

Każda żyłka w niej drżała oczekiwaniem, serce na przemian ściskało się trwożnem, złem przeczuciem, to znów rozszerzało radosną, promienną nadzieją...

Montwiłł przyniósł jej dzisiaj wiadomość, że otrzymał list, w którym jakiś porucznik Krzycki prosi go, aby się zgłosił do niego do szpitala, jeżeli się chce czegoś dowiedzieć o Kazimierzu Walczaku...

— Widocznie przeczytał ogłoszenie — kończył Montwiłł.

— Panie Stanisławie — błagała Anielka — niech pan tam idzie zaraz, dzisiaj jeszcze. O, gdybym ja sama iść mogła... Pan nie wie, co znaczy taka trwoga, niepewność, oczekiwanie...

Montwiłł przyrzekł, że pójdzie bezzwłocznie do porucznika Krzyckiego...

Anielka zerwała się z sofki, spojrzała na zegarek i nerwowo zaczęła poprawiać włosy... Było już trzy kwadranse na trzecią, a o trzeciej miała się spotkać z Montwiłłem koło Rudolfinum.

— — — — — — — — — — — — —

Kiedy pani Krystyna powróciła do domu po godzinie ósmej wieczorem, zdziwiła ją ciemność i cisza, panująca w całem mieszkaniu.

Czyżby Anielka nie przyszła jeszcze?

— Czy panienki niema w domu? — zapytała otwierającą jej drzwi Wikcię.

— Owszem, jest, nawet dawno — odpowiedziała dziewczyna. — Tylko, proszę pani, panience to chyba się coś stało...

— Jakto?! Co ty mówisz?! Stało się coś...

— To było tak, proszę pani — opowiadała Wikcia, a oczy płonęły jej ciekawością. — Ten wysoki młody pan, blondyn, odprowadził panienkę aż na górę... Panienka była bardzo blada i ledwie mogła utrzymać się na nogach... Pytałam, czy panience trzeba wody albo wina, czy może pójść po doktora, ale panienka tylko mi ręką pokazała, że niczego nie chce... Poszła do swojego pokoju, światła nie zaświeciła... Ja bałam się wchodzić, żeby się panienka na mnie nie gniewała...

Wikcia chciała mówić coś więcej jeszcze, ale pani Krystyna nie słuchała już. Przerażona pobiegła do pokoju siostrzenicy, nie zdejmując nawet okrycia i kapelusza.

Otworzyła drzwi. W pokoju było ciemno i cicho.

— Anielko, czy ty tu jesteś? Śpisz?

Żadnej odpowiedzi.

Pani Krystyna pospiesznie zaświeciła światło elektryczne. Zobaczyła leżącą nieruchomo na sofie Anielkę z twarzą zakrytą rękami. Pierś dziewczyny wznosiła się oddechem nierównym, urywanym, jak gdyby tłumionem łkaniem.

— Anielko, co tobie?!

Anielka nie odpowiadała. Pani Krystyna rzuciła się ku siostrzenicy i ujęła ją za ręce, odsłaniając jej twarz. Przeraziła się, kiedy zobaczyła te śliczne rysy dziewczęce stężałe, ściągnięte w jakimś przeogromnym bólu.

— Anielko, na miłość Boską! Mów, co się stało, co ci jest?!

Spojrzenie pani Krystyny błądziło po pokoju, jak gdyby szukając rozwiązania tej zagadki i padło na leżące na stoliku przedmioty: fotografię, list i pierścionek.

Pani Wolska spojrzała na fotografię: Anielka! Obróciła fotografię i zobaczyła podpis: „Kazkowi Anielka“.

I pierścionek z perełką poznała ciotka, była to pamiątka Anielki po matce.. Sięgnęła wreszcie po list i przebiegła oczyma pożegnalne słowa Kazimierza dla Anielki.

Zrozumiała. Bezmierne współczucie dla siostrzenicy ogarnęło jej serce. Zapomniała w tej chwili, że Anielka postąpiła wbrew jej woli, zlekceważyła wyraźny zakaz, widziała tylko to jedno, że ukochane dziewczę straszne cierpi.

— Dziecino moja biedna!

Pani Krystyna przytuliła siostrzenicę do piersi. Pod wpływem tego serdecznego, miękkiego, macierzyńskiego uścisku zelżała żelazna obręcz, gniotąca gardło i serce Anielki i z piersi dziewczyny wydobyło się gwałtowne, rozdzierające szlochanie.

— Ciociu, on nie żyje, nie żyje! Ja go już nigdy nie zobaczę... Czytaj to, rozumiesz, nigdy!... O mnie myślał przed śmiercią, mój święty, mój najdroższy!...

Po twarzy pani Krystyny płynęły łzy, mieszając się ze łzami Anielki.

Dziewczyna jęczała...

— Zabili go!... Już go nie zobaczę!... O jaka wojna jest straszna, jaka straszna...

— — — — — — — — — — — — —

Dziwnie jakoś, obco, nieswojo czuł się Jan Krzycki, kiedy po raz pierwszy wyszedł ze szpitala na miasto.

Jakby zdziwiony obserwował żywy ruch uliczny, spoglądał na strojne kobiety, na panów w lśniących cylindrach, na różowe buzie dzieci, prowadzonych przez matki, niańki i bony. Gonił wzrokiem mknące tramwaje, dorożki, automobile; zatrzymywał się przed wystawami sklepów, wsłuchiwał się w krzykliwe głosy młodocianych przekupniów, sprzedających kwiaty i dzienniki.

Olbrzymie jaskrawe afisze zapraszają chętnych na widowiska kinematograficzne, zapowiadając im sensacyjne dramaty, wielce „komiczne“ komedye i obok tego „najnowsze zdjęcia wojenne“. Skromniejsze plakaty donoszą o przedstawieniach teatralnych, koncertach, rozmaitych porankach muzycznych i literackich i innych zwykłych rozrywkach wielkomiejskich.

Gdziekolwiek przez szybę spojrzeć do kawiarni, pełno gości — ulicą płyną tłumy...

Więc się nic nie zmieniło...

Krzycki miał jeszcze w duszy straszliwy obraz grozy wojennej, czuł jeszcze tchnienie śmierci wokół siebie i dziwił się, choć zdrowy rozsądek mówił mu, że dziwić się niema czemu...

A jednak nie mógł opanować wyobraźni, aby mu chwilami oczu nie przysłaniała krwawa mgła i aby mu wśród hałasu ulicy, krzykliwych nawoływań przekupniów, szelestu sukni kobiecych nie zabrzmiały w uszach inne głosy:

— Jezus Marya!

— Ratunku!

— Sanitet!

— Tu do mnie! — odbijało mu się echem w pamięci.

Huragan dziejowy zda się wstrząsa ziemią tak, że drży w posadach, a życie przecież idzie swoją drogą...

Nic się nie zmienia.

Ból, cierpienie, tragedye, które przecież być muszą, chowają się skromnie po kątach, w zaciszu domowem, a życie wielkomiejskie jednako pieni się i szumi...

Krzycki usiłował otrząsnąć się z tych myśli. — Chciał się rozerwać, rozweselić, porozmawiać z kimś i pilnie upatrywał wśród przechodniów jakiej znajomej polskiej twarzy... Smutno mu było tak samemu błądzić po ulicach Pragi.

Otarł się o niego jakiś żyd z rudymi pejsami, w brudnym chałacie.

Krzycki, który i z wrodzonych upodobań i z przekonań był raczej antysemitą, uśmiechnął się mimowoli przyjaźnie do żyda. Ten charakterystyczny chałat wydał mu się jakby przypomnieniem czegoś bliskiego.

Krzycki poszedł dalej. — Uwagę jego zwróciła młoda kobieta, prowadząca za rączki dwoje dzieci w zakopiańskich guńkach.

— Mamusiu — prosił chłopczyk — kup balon.

— Zosia tys chce balon — popierała go maleńka siostrzyczka.

— Nie można, dzieci — odpowiedziała matka — mamusia niema pieniędzy, bo tatuś na wojnie...

— Mamusiu, a jak tatuś wróci z wojny i my pojedziemy do domu, to dostanę balon — taki czerwony?

— Celwony — wtóruje dziewczynka.

— A przecież coś się zmieniło — przemknęło przez myśl Krzyckiemu.

Kupiłby chętnie dzieciom balon, ale boi się, że mógłby obrazić matkę.

Mija więc i idzie dalej.

— Widzisz Jasiu — filozofuje sam ze sobą Krzycki — wojna zmienia jednak pewne rzeczy i ciebie zdaje się dyabelnie zmieniła... Ani przypuszczałeś, że w tobie drzemią takie skarby sentymentalizmu... Hę, jak to powiedział w jednej ze swoich piosenek Boy: „Czy nie znaczy to przypadkiem, że mi czas już zostać dziadkiem...

W tej chwili przerwała Krzyckiemu dalszy bieg myśli jakaś uśmiechnięta „holka“ czeska. Trąciła go łokciem, zajrzała mu w oczy i rzekła:

— Heski voják...

Krzycki wzruszył ramionami i na zaczepkę nie odpowiedział. Nie miał ochoty zawierać tego rodzaju ulicznych znajomości.

Wszedł do jakiejś kawiarni, usiadł przy oknie, kazał sobie podać białą kawę i polskie dzienniki.

Nie mógł jednak czytać uważnie, własne jego myśli plątały mu ustawicznie tok rozważań i informacyi gazeciarskich... Odłożył gazety i spoglądał na ulicę.

Za wielką kawiarnianą szybą przesunęła się smukła, kształtna postać młodego mężczyzny, który spostrzegłszy Krzyckiego, grzecznie uchylił kapelusza.

Krzycki ukłon oddał, ale brwi zmarszczył, jakby jakąś nagłą przykrością dotknięty. Poznał Montwiłła, który się zgłosił do niego do szpitala po wiadomości o Walczaku.

— To jest więc prawdopodobny następca biednego Kazika... Już to kobiety zawsze są sprytne i praktyczne! Wybrała sobie na powiernika i przyjaciela ślicznego chłopca, aby w razie potrzeby mógł być także pocieszycielem... A Kazik idealizował ją... No! On zawsze był łatwowierny i nie znał kobiet... A one są wszystkie jednakowe...

Przypomniał sobie coś, zastanowił się chwilę i zadał sobie pytanie: czy wszystkie?

Nie chciał myśleć o tem.

W tej chwili spostrzegł, że siedzący przy sąsiednim stoliku młodzieniec uparcie wpatruje się w niego.

Krzyckiemu twarz ta wydawała się znajomą, sięgnął myślą we wspomnienia, ale nie mógł przypomnieć sobie, gdzie i kiedy poznał tego człowieka i kto to jest.

Młodzieniec pochylił się w stronę Krzyckiego i ukłonił się.

Krzycki skinął głową.

Wówczas młodzienieniec wstał, podszedł i zapytał:

— Jeżeli się nie mylę, pan Jan Krzycki?

— Tak jest, ale z kim mam przyjemność?

— Jakto, nie poznajecie mnie?! Sliwowski jestem.

— Aha! Józek Sliwowski, mały Józio... No, rzeczywiście trudno poznać, bo z małego Józia wyrósł tęgi chłop pod wąsem...

— A ja was poznałem odrazu...

Krzycki ucieszył się szczerze z tego spotkania. Józka Sliwowskiego znał jeszcze z gimnazyum, jako młodszego o kilka lat kolegę.

— Cóż wy tutaj w Pradze porabiacie? — pytał Krzycki, kiedy Józek przysiadł się do jego stolika.

— Ano „wyewakuowałem“ się i uczęszczam obecnie na uniwerek w Pradze...

— I jeszcze w cywilu?

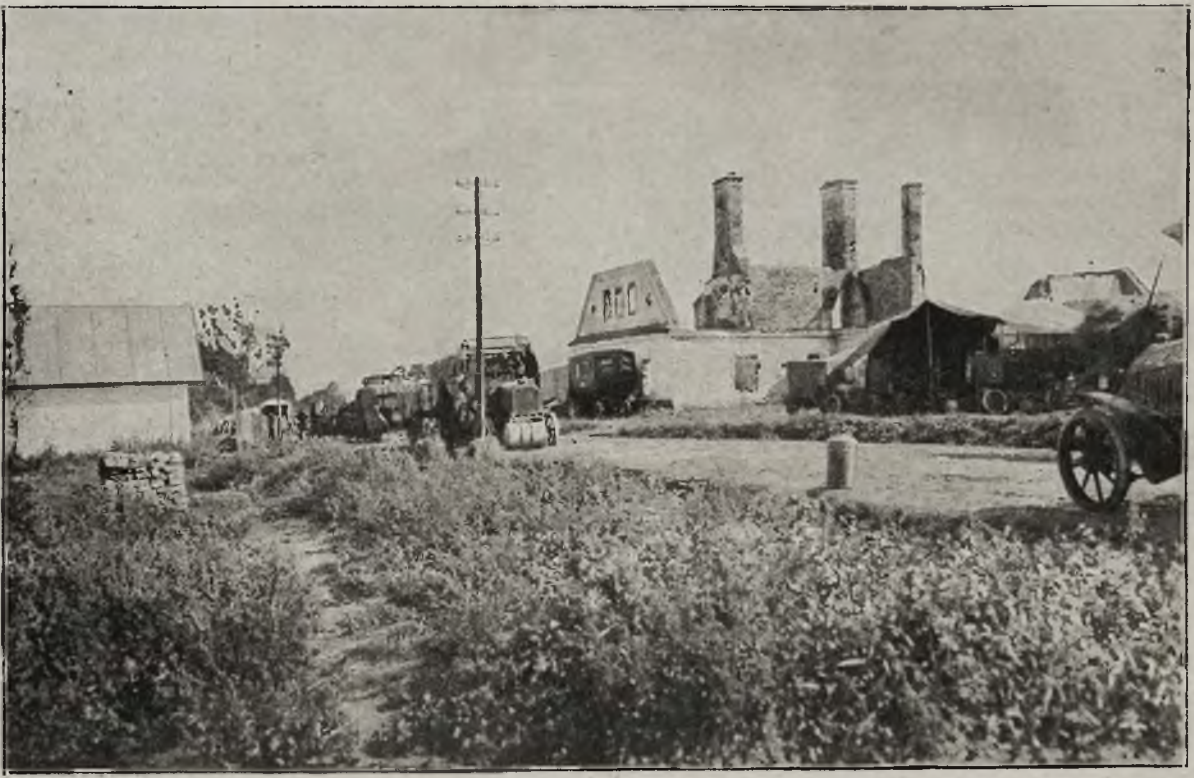
— Jak widzicie, ale wy złożyliście już daninę Bellonie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Jubileusz Dominikanina-Obywatela.

Cicho i bez rozgłosu obchodził w klasztorze O. O. Dominikanów krakowskich 70-lecie swych urodzin senior tego zakonu w Polsce, O. Wincenty Podlewski, choć głośnem i znanem jest imię jego w Polsce, na Litwie i Rusi, jak również i jego kapłańska bardzo owocna działalność. Wojna przeszkodziła zamierzonemu obchodowi na większą skalę, jaki miało urządzić obywatelstwo i duchowieństwo Krakowa i Galicyi na cześć zasłużonego Obywatela Dominikanina. Ale i tak z wielu stron kraju naszego i z Królestwa od różnych osobistości i dostojników duchownych i świeckich otrzymał O. Winceenty i otrzymuje życzenia serdeczne i wyrazy uznania za kilkudziesięcioletnią, bardzo owocną działalność kaznodziejską, kapłańską i obywatelską wśród wszystkich sfer naszego społeczeństwa w Galicyi, jak i młodzieży, szczególniej szkół średnich i akademickiej, którą przez blizko pół wieku aż dotąd niestrudzenie troskliwą otacza opieką.

Ks. Wincenty Podlewski urodził się w r. 1846 na Podlasiu w Siedlcach, jako potomek starożytnego rodu polskiego hrabiów Bogoryów-Podlewskich. Po ukończeniu szkół w Warszawie wstąpił do zakonu O. O. Dominikanów w Krakowie. Kapłanem został w r. 1873, a już w 1878 wybrany jednogłośnie przeorem krakowskiego klasztoru, ogromne położył dla swego Zakonu zasługi. Klasztor zaledwie z gruzów się podnosił po pożarze w r. 1850, więc O. Wincenty dźwigał na nowo mury, restaurował co się dało, zwoził uratowane przez siebie na Litwie i w Królestwie po kasacie zakonów cenne obrazy i księgi dominikańskie i nimi ozdabiał kościół i klasztor w Krakowie przez pożar opustoszały. Długoby wyliczać trzeba zasługi tego Dominikanina dla sztuki i historyi ojczystej położone przez troskliwe zbieranie i ratowanie cennych dokumentów.



Wojna w Polsce: Zburzone domy w Żółkwi (Fot. „Ata" Lwów).

O. Wincenty był do roku 1905 jedynym zakonnikiem, któremu wolno było jawnie w habicie przekraczać kordon rosyjski i tam apostołować po cichu, nie rozgłośnie, ale niemniej pożytecznie. Przy tej sposobności ratował on, co się dało, bardzo wspierany w tem przez X. Arcyb. Popiela, którego cieszył się przyjaźnią. Mając wpływy na dworze w Petersburgu, umiał je wykorzystać. Zna Polskę od morza do morza i zna go ona.

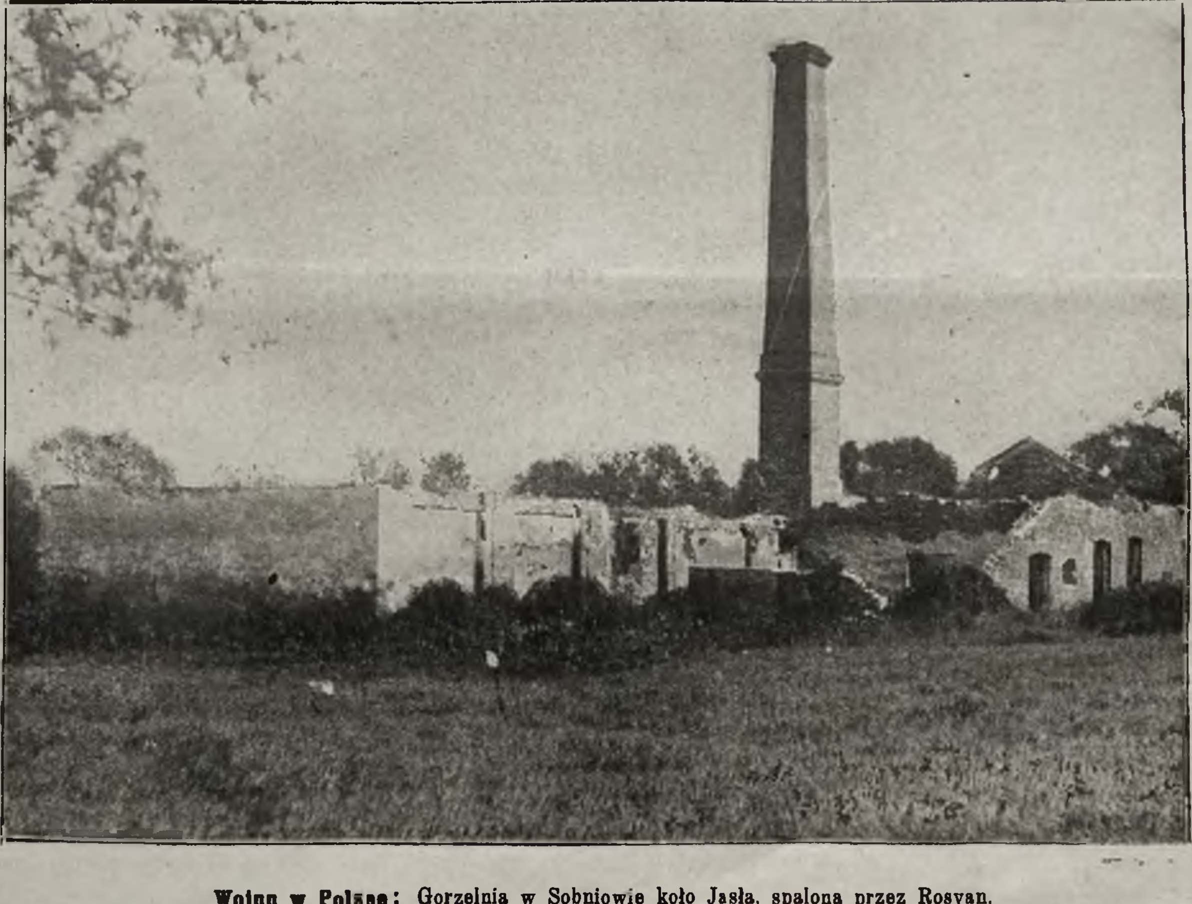
Społeczne zasługi O. Podlewskiego są ogromnie wielkie. Jako przeor krakowski w r. 1878—1882 setki młodzieży ubogiej żywił, odziewał, słowem, wybitnym był w Krakowie filantropem. Dziś ci ludzie, jedni kościelne piastują dostojeństwa, inni świeckie godności, a wszyscy wspominają z wdzięcznością i miłością O. Podlewskiego. Nic dziwnego też, że w dniu jego jubileuszu bez rozgłosu, ale zato serdecznie składano mu życzenia na dalsze długie i owocne lata.



Wojna w Polsce: Wnętrze dworca kolejowego w Żółkwi, zniszczonego przez Rosyan



Jubileusz Dominikanina-Obywatela: O. Wincenty Podlewski.



Wojna w Polsce: Gorzelnia w Sobniowie koło Jasła, spalona przez Rosyan.





Zgon wiceprezydenta m. Lwowa: Pogrzeb ś. p. Karola Edwarda Eplera.
Wyprowadzenie zwłok z kaplicy Boimów. Na cmentarzu. (Fot. Józef Kościesza-Jaworski)

Zgon wiceprezydenta m. Lwowa.

W tych dniach zmarł we Lwowie po dłuższej chorobie ś. p. Karol Edward Epler, inżynier i wiceprezydent m. Lwowa, w 63 roku życia. Ze śmiercią ś. p. Eplera zeszedł do grobu człowiek niepospolitych zasług. Jako długoletni radny, a później wiceprezydent miasta, brał zawsze żywy udział w pracach około rozwoju Lwowa. Z chwilą oswobodzenia Lwowa mianowany drugim zastępcą komisarza rządowego, sprawował ten urząd, dokąd mu sił starczyło.

S. p. Epler pracował też wiele jako inżynier, był członkiem rady nadzorczej i wydziału w wielu towarzystwach. — Wybitną też rolę odegrał w Pol. Tow. politechnicznem. Zmarły osierocił pięciu synów,



Likwidacya prawosławia w Królestwie Polskiem: Pierwsza Msza św odprawiona przez ks. biskupa Bielika w byłej cerkwi w Lublinie.



Zgon wiceprezydenta m. Lwowa: Były rektor Syroczyński (X) przemawia imieniem Pol Tow. Politechnicznego nad trumną ś. p. Eplera (Fot. J. Kościesza-Jaworski).



Likwidacya prawosławia w Królestwie Polskiem: Przerabianie krzyżów prawosławnych na wieżach nowo poświęconego kościoła.





Likwidacya prawosławia w Królestwie Polskiem: Uroczystość poświęcenia cerkwi w Lublinie jako rzymsko-katolickiego kościoła garnizonowego.
Grupa duchowieństwa wojskowego w Lublinie. (X) Biskup polowy ks. Emeryk Bielik, (XX) ks Czyżewski, superyor jenerał-gubernatorstwa
Procesya z biskupem polowym ks Bielikiem na czele udaje się do cerkwi dla dopełnienia aktu poświęcenia.

pozostających z wyjątkiem jednego w służbie wojskowej.

Na wieść o jego zgonie na ratuszu lwowskim wywieszono żałobną chorągiew, przyboczną radę miejską zwołano na nadzwyczajne posiedzenie, a pogrzeb ś. p. Eplera stał się poważnym hołdem nad trumną zasłużonego obywatela. W oddaniu ostatniej posługi zmarłemu wzięli udział przedstawiciele miasta, instytucyi społecznych i naukowych oraz liczne rzesze publiczności. W imieniu miasta pożegnał zmarłego radca Magistratu p. Rybicki, a na cmentarzu wygłosił nad trumną przemówienie imieniem Pol. Tow. politechnicznego b. rektor Politechniki lwowskiej Syroczyński.



Wojna w Polsce: Dworzec kolejowy w Żółkwi, zniszczony przez Rosyan. (Fot. „Ata", Lwów)



Uroczystość wojskowa w Bronowicach: Jen. Gąsiecki dekoruje odznaczonych podoficerów żandarmeryi.

Uroczystość wojskowa w Bronowicach.

W Bronowicach Wielkich pod Krakowem odbyła się wojskowa uroczystość wręczenia odznaczeń wojennych ośmiu podoficerom żandarmeryi krajowej i fortecznej. Odznaczeni podoficerowie zdobyli sobie uznanie przełożonych władz wojskowych znakomitą służbą i wydatną działalnością na swoich stanowiskach. — Odznaczenie tych podoficerów odbyło się w sposób nader uroczysty w obecności jenerała Gąsieckiego, majora Klesita, majora Michaleckiego, rotmistrzów żandarmeryi Dimmla, Sołtyka, Reifa, naczelnika żandarmeryi polowej twierdzy, nadporucznika Sandiga i poruczników Liebiga i Schustera; był także oficer heskiej armii, Fr. Stievenhofer. W zastępstwie delegata przybył radca namiestnictwa p. Władysław Kowalikowski i grono zaproszonych gości.

Uroczystość rozpoczęła się mszą polową, odprawioną w drewnianej kapliczce na dziedzińcu baraków wojskowych przez kapelana polowego, ks. Nekulę. Podczas nabożeństwa przygrywała orkiestra wojskowa. W nabożeństwie, prócz oficerów i zaproszonych gości, wzięły także udział oddziały żołnierzy z barakowego obozu miejscowego.

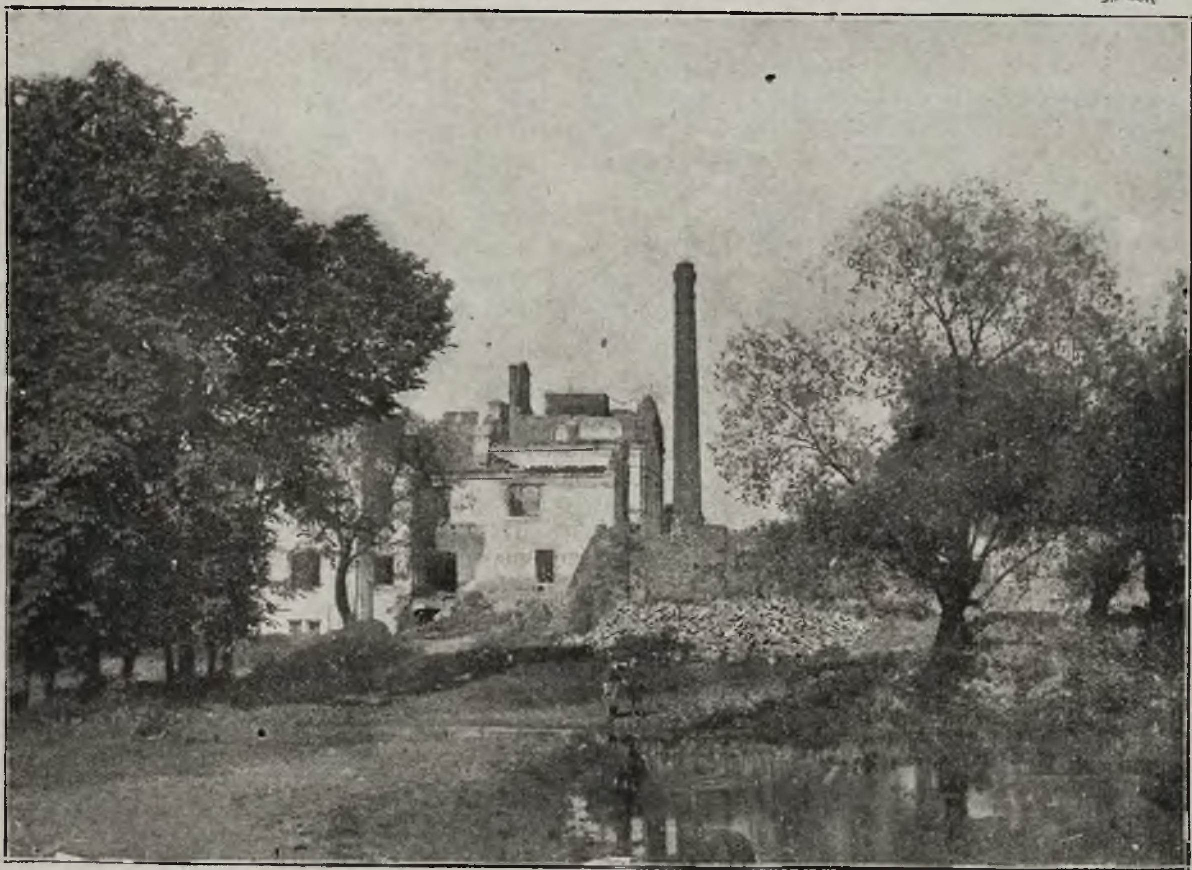
Po mszy św. odbyło się wręczenie odznaczeń przez generał majora Gąsieckiego, który serdecznie przemówił do odznaczonych żandarmów, złożył im życzenia, a nastepnie każdemu przypiął srebrny krzyż zasługi z koroną na wstędze medalu za waleczność.

Odznaczenia powyższe otrzymali: wachmistrze Paweł Bauer i Jan Tomko, zastępcy wachmistrzów Andrzej Kucki, Antoni Dorosz i Ferdynand Bandola, a z żandarmeryi fortecznej: Karol Falcik, Piotr Schubhart i Jan Ostochowski.

Po wręczeniu dekoracyi wygłosił przemówienie generał major Gąsiecki, poczem wzniósł trzykrotny



Uroczystość wojskowa w Bronowicach: Grupa uczestników uroczystości. (X) Jenerał-major Gąsiecki.



Wojna w Polsce: Destylarnia w Sobniowie koło Jasła spalona przez Rosyan (Fot St Kowalski)



Likwidacya prawosławia w Królestwie Polskiem: Zewnętrzy widok byłej cerkwi w Lublinie.

okrzyk na cześć cesarza, powtórzony przez uczestników uroczystości. Następnie przy dźwiękach orkiestry wojskowej odbyła się defilada wszystkich oddziałów żołnierzy z obozu barakowego przed generałem, gronem oficerów i udekorowanymi żandarmami.

Po tej uroczystości odbyło się w willi pp. Fischerów śniadanie, wydane przez korpus oficerski na cześć odznaczonych żandarmów. Podczas uczty przemawiali generał major Gąsiecki, radca namiestnictwa Kowalikowski, major Michalewski i innl. Po wspólnej fotografii uczestników uroczystości zebrani goście wrócili jeszcze do pięknie udekorowanych sal willi, gdzie zabawa wśród serdecznego nastroju przeciągła się kilka godzin. Podejmowaniem zaproszonych gości zajmowali się: rotmistrz Dimmel oraz nadporucznik Sandig i Liebig, aranżerowie uroczystości bronowickiej.

Likwidacya prawosławia w Królestwie Polskiem.

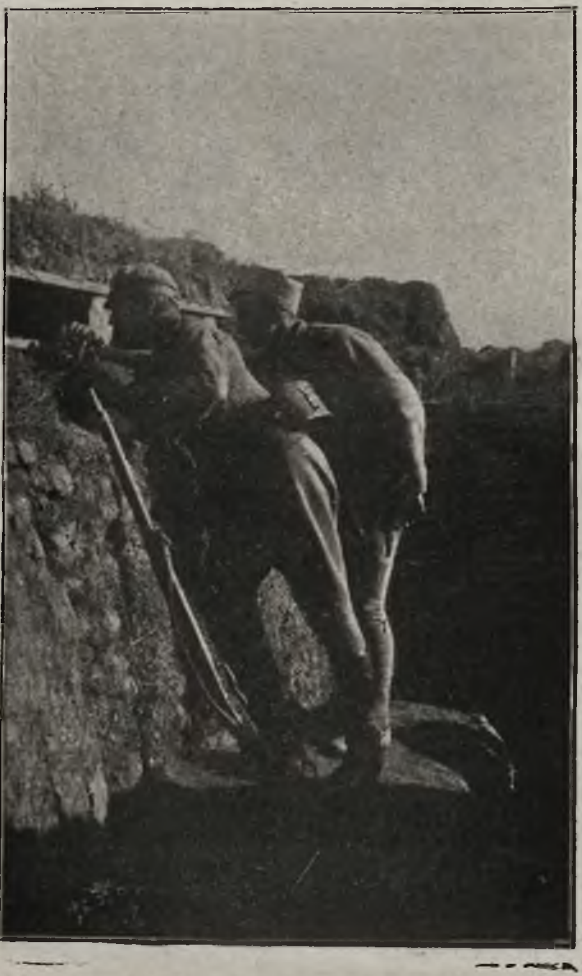
Fikcya prawosławia, którą usiłowali stworzyć Rosyanie na wyodrębnionej Chełmszczyźnie, prysła z chwilą, gdy wojska rosyjskie zmuszone były opuścić Królestwo Polskie. — Gdy popi i czynownicy wraz z armią wyemigrowali z ziem polskich, znikła również istniejąca na papierze lub „nawrócona“ przemocą ludność „prawosławna“... Dziś niema po niej śladu — pozostały tylko — jako „pamiątka“ gospodarki rosyjskiej — puste cerkwie prawosławne, które teraz są tam zamieniane na kościoły katolickie.

Wkrótce po zajęciu Warszawy przez Niemców spotkał taki los słynną cerkiew na Placu Saskim, którą Rosyanie chcieli zadokumentować „rosyjskość“ Warszawy, a obecnie zamieniono cerkiew w Lublinie na rzymsko katolicki kościół garnizonowy. Aktu poświęcenia dokonał uroczyście apostolski wikary polny, ks. biskup Bielik.

Na tę uroczystość wyruszyły wszystkie oddziały garnizonu. Jenerał-gubernator, jenerał zbrojmistrz Kuk, udał się wraz z całym korpusem oficerskim i urzędnikami garnizonu do kościoła. Po mszy św. wygłosił polny wikary krótką przemowę, w której oddał Dom Boży garnizonowi. Uroczystość zakończyło udzielenie przez ks. biskupa apostolskiego błogosławieństwa i defilada wojska przed jenerał-gubernatorem. Następnie polny wikary był wraz z duchowieństwem wojskowem i świeckiem na obiedzie uroczystym u jenerał-gubernatora. — Jenerał zbrojmistrz Kuk wygłosił naprzód toast na cześć cesarza, poczem powitał apostolskiego polnego wikarego i gości z duchowieństwa świeckiego i zapewnił ich o swej stałej opiece. Biskup podziękował za życzliwe przyjęcie i wyraził życzenie, aby wszyscy austryacko-węgierscy bojownicy garnizonu w nowo poświęconym Domu Bożym znajdowali zawsze pociechę.



Likwidacya prawosławia w Królestwie Polskiem: Powitanie jenerał-gubernatora J. E Kuka przez ks biskupa Bielika przed nowo poświęconym kościołem w Lublinie.



Szlakiem bojowym Legionów: W okopach.



Dla podniesienia rękodzieła: Kierownicy, uczestnicy i uczestniczki kursu buchalteryi kupieckiej dla krawczyń i krawców. 1) Prof. dr. Żabiński, 2) dyr. H. Wacięga, 3) prof. K. Zimowski.

VALENTIN MANDELSTRAMM.

FATALNY DYAMENT.

Tłumaczyła z francuskiego: **MARYA SEGENY.**

5

Na koźle pustej maszyny siedział tylko szofer i chociaż tenże miał oczy przysłonięte wielkimi, czarnymi okularami i duże ciemne wąsy zakrywały mu część twarzy, młody człowiek zauważył z silnem wzruszeniem, że dziwnie przypominał barczystą postać czcigodnego ojca Nataniela Bodminster.

Włodzimierz Guzow był tak zaskoczony tem spostrzeżeniem, że chcąc przekonać się, czy się nie myli, postanowił wysiąść z omnibusu i podejść do automobilu.

— To przecież niemożebne, żeby to miał być ojciec Nataniel — pomyślał młody człowiek, wychodząc z powozu.

Ale w tej samej chwili szofer, zauważywszy widocznie, że przejazd jest już wolny, skręcił maszynę i odjechał szybko.

— To musiało być optyczne złudzenie! — szepnął Guzow z niechęcią — Przemęczyłem się dzisiaj bardzo w pracowni.

I nie myśląc o tem już więcej, usiadł z powrotem do omnibusu.

W kilka dni po tem wydarzeniu, młody uczony powracał do pensyonatu „Europa" w bardzo wesołem usposobieniu.

Pomimo wielkiego znużenia, czuł jak radość rozsadza mu piersi. Ten dzień miał być ważnym w jego życiu, udało mu się bowiem wywołać trzy przepyszne dyamenty, które jakością i wielkością przechodziły znacznie ów pierwszy kamień, wywołany dawniej w okolicznościach mniej sprzyjających. Pod wrażeniem tego tryumfu i zadowolenia postąpił tego dnia wbrew przyjętym zwyczajom.

Bez najmniejszej już ostrożności zatelefonował do bankiera Versigny, sądząc, że o tej porze będzie w domu, tak gorąco pragnął podzielić się z nim jak najspiesznie tą szczęśliwą wiadomością.

Ale odpowiedziano mu, że pan Versigny spędzić ma ten wieczór w mieście i zapewne powróci późno. Włodzimierz Guzow musiał więc cierpliwie czekać dnia następnego.

Cały wieczór był jednak roztargniony i oderwany zupełnie myślami od otoczenia. Przy wspólnym stole w pensyonacie jadł niewiele, a mówił jeszcze mniej. Niezwykłe to usposobienie zwróciło uwagę pani Lutin:

— Panie Guzow! — odezwała się, przypatrując się życzliwie młodemu człowiekowi — Co się z panem dziś dzieje? Nie zwraca pan najmniejszej na nas uwagi i nawet nie spostrzegł pan, że dziś na obiad są wybrane ulubione pana potrawy.

— Czy naprawdę sądzi pani, że jestem dzisiaj innym, niż kiedykolwiek — odparł wymijająco Guzow.

— Ależ oczywiście! Gdybym nie wiedziała, że tylko nauka ma dla pana pewną wartość, sądziłabym, że jest pan zakochany.

Na to przypuszczenie młody człowiek roześmiał się serdecznie.

— Pani ma bujną wyobraźnię, pani Lutin — odparł żartobliwie — Niedługo przypisze mi pani wszystkie cierpienia nieszczęśliwego Werthera.

Nagle do rozmowy wmieszał się czcigodny ojciec Nataniel Bodminster.

— Przeciwnie, kochany panie! — rzekł poważnie — Nie cierpienia malują się na twarzy pana, lecz radość. Mam przekonanie, że spotkało pana coś bardzo dobrego.

— To prawda! — oświadczył Włodzimierz Guzow — Czuję się bardzo szczęśliwym i zadowolonym.

— Tem lepiej. Miło mi będzie pozostawić pana w tak pogodnem usposobieniu.

— Pozostawić? Nie rozumiem. Czy ojciec zamierza już opuścić nas?

— Niestety. Muszę jutro powrócić do Anglii. Komitet naukowy, który mnie tu wysłał, wzywa mnie. Ale mam nadzieję, że powrócę tu za kilka tygddni i zastanę pana jak dziś wesołego i w szczęśliwem usposobieniu.

Ostatnie te słowa ojciec Nataniel wymówił, jak gdyby ślął błogosławieństwo na głowę młodego człowieka, a kiedy powstano od stołu i Guzow zmęczony dążył do swego pokoju, aby odpocząć chwilę — na korytarzu zatrzymał go jeszcze ojciec Nataniel.

— Przykro mi żegnać się z panem. — wyrzekł ściskając silnie jego rękę — Wspominać cię będę, mój młody przyjacielu, zawsze z najwyższą życzliwością.

Guzow podziękował mu uprzejmie za te słowa i wszedł prędko do swojego mieszkania. Rozebrał się szybko, pragnąc jak najspiesznej znaleźć się w wygodnem łóżku i owinąwszy starannie w chusteczkę zdobycz swoją, wsunął ją przez ostrożność pod materac. — Następnie zagasił światło i usnął wkrótce.

W kilka minut później czcigodny ojciec Nataniel pożegnał się ze wszystkimi gośćmi pani Lutin i udał się do siebie, mówiąc, że jest zmuszony wyjechać nazajutrz o wczesnej bardzo godzinie.

Pani Lutin, dla której odjazd ojca Nataniela był istną katastrofą, żegnała go ze łzami w oczach i oświadczyła, że choć przyzwyczajona sypiać do godziny ósmej, pożegna go raz jeszcze przy wyjeździe.

Ale ojciec Nataniel, dziękując jej w gorących słowach za okazaną sympatyę, prosił, aby się nie fatygowała tak wcześnie.

— Nie lubiłem nigdy scen pożegnalnych — dodał — Zaostrzają one tylko boleść każdego rozstania. Zatem, kochana pani Lutin, proszę nie wstawać rano i nie czynić mi tej przykrości. Przecież zobaczymy się niezadługo, za kilka tygodni najwyżej.

I pani Lutin odeszła wzruszona i wzdychając ciężko pomyślała, że przecież niema na całym świecie zacniejszego człowieka, jak czcigodny ojciec Nataniel Bodminster.

Myśl rozstania się z nim łagodziła nadzieja powrotu, bo nawet kazał zatrzymać dla siebie pokój zawsze zajmowany i pozostawił w nim niektóre swoje rzeczy.

Ojciec Nataniel zaś, powróciwszy do swojego mieszkania, zapalił świecę i stanął na chwilę na środku pokoju, zamyśliwszy się głęboko.

Twarz jego przybrała wyraz skupiony i surowy.

— No, trzeba się zabierać do roboty! — szepnął wkońcu — Wszyscy już spać muszą, nikt mi zatem przeszkodzić nie może.

Podszedł do drzwi, zamknął je na klucz, klucz wyciągnął ze zamku i w otwór włożył kawałek waty.

Poczem zrzucił z siebie szybko swój długi surdut, wyjął z kufra trykoty czarne i obcisłe i włożył je, uśmiechając się przy tej czynności ironicznie.

— Czcigodny ojciec Nataniel Bodminster w trykotach. — pomyślał — Niezła farsa!

Przebrawszy się, wyciągnął z komody torbeczkę skórzaną, z której wyjął waporyzator i mikrofon, który mu kiedyś posłużył do szpiegowania rozmowy Włodzimierza Guzowa i bankiera Versigny. Wsunął delikatnie końce aparatu do otworu w ścianie, wywierconego przez niego dawniej jeszcze na ten użytek i począł nadsłuchiwać. Na twarzy jego przewinął się wkrótce uśmiech zadowolenia. Z drugiego pokoju dobiegł jego uszu oddech miarowy i silny.

— Spi — szepnął cicho — Nie prędko się obudzi z tego pierwszego snu, tembardziej, że miał dzisiaj wygląd człowieka bardzo zmęczonego i wyczerpanego.

Zastąpił teraz mikrofon rozpylaczem i powoli, regularnymi ruchami zaczął naciskać gruszkę gutaperkową. W pewnych odstępach czasu znowu przy pomocy mikrofonu nadsłuchiwał i powracał następnie do swojej tajemniczej czynności.

Po jakimś czasie odjął rozpylacz. Zaopatrzył się we dwie serwety i duży tampon z waty, który zamoczył w płynie pozostałym w rozpylaczu, zawiesił na szyi kawałek zwiniętego sznura i pomagając sobie specyalnymi narzędziami z żelaza błyszczącego, otworzył drzwi w bocznej ścianie, komunikujące się z przyległym pokojem. Wówczas zagasił świecę i stąpając ostrożnie, wsunął się do mieszkania Włodzimierza Guzowa. Bez wahania, znając widocznie dobrze rozkład pokoju, podszedł do łóżka i zręcznym ruchem nałożył tampon z waty na twarz śpiącego. Lekkie drżenie przebiegło ciałem młodego człowieka, lecz nie obudził się, bo pierś jego dalej poruszała się równym, miarowym oddechem.

Ojciec Nataniel Bodminster przeczekał chwilę, poczem wyjąwszy z kieszeni krytą latarkę, skierował światło na twarz młodego człowieka. Musiał się uczuć zadowolonym ze swej roboty, bo mruknął z radością:

— Teraz jesteś w mojej mocy, panie wynalazco. Nie zbudzisz się ty już tak prędko!

Otworzył siłą zwarte szczęki śpiącego i wsunął w nie zwiniętą silnie serwetę, nałożył na usta tampon wilgotny i przymocował go drugą serwetą, wiążąc ją na szyi. Następnie wyciągnął Guzowa z łóżka i związał mu silnie ręce i nogi przygotowanym sznurem, ubrał go jako tako i na nogi włożył mu obuwie.

Teraz szybko zaczął przeglądać meble, szuflady biurka i nocnego stolika, przeszukał łóżko całe, zaglądając pod materace, bystrem spojrzeniem objął pokój cały, chcąc przekonać się, czy nic nie zdradzi tych nocnych odwiedziny jego i wyciągnął klucz z zamku drzwi, wiodących na korytarz.

Zabezpieczywszy się w ten sposób, podjął w silne swoje ramiona ciało młodego uczonego i przeniósł je do swojego pokoju.

— — — — — — — — — — —

Około godziny szóstej rano czcigodny ojciec Nataniel Bodminster w kostyumie podróżnym, szerokiej, ciemnej pelerynie, w miękkiej, angielskiej czapce, ukazał się na korytarzu pierwszego piętra. Zawołał służącego Adolfa, który jeden w pensyonacie całym był już na nogach i poprosił go o zniesienie walizy i zawołanie dorożki. Sam zaś dźwigał na plecach duży, płaski koszyk. Kiedy Adolf powrócił za chwilę, oznajmiając, że powóz czeka już na ulicy, ojciec Nataniel polecił mu nie ruszać nic z jego pokoju, gdyż ma zamiar powrócić wkrótce i nie lubi, aby ktoś dotykał jego rzeczy. Wyjął z kieszeni złotą monetę, którą wręczył uradowanemu staremu, zeszedł poważnie ze schodów i wsiadł do dorożki, dając furmanowi rozkaz zawiezienia go na dworzec północny.

Jednakże w połowie drogi zmienił zdanie: wychylił się z powozu i zawołał:

— Mój przyjacielu, zdaje mi się, że nie jedziemy w dobrym kierunku.

— Wielebny ojciec kazał mi jechać na dworzec północny — odparł dorożkarz.

— Widocznie pomyliłem się, mój kochany. Wyjeżdżać mam z dworca wschodniego. Proszę cię nawróć i pospiesz się, abym zdążył na mój pociąg.

Przyjechawszy na dworzec, ojciec Nataniel sam własnoręcznie zdjął z powozu koszyk swój i obecnym był, kiedy go posługacz umieścił w sali bagażów, odebrał kwit i zniknął z dworca.

W pół godziny później czcigodny ojciec Nataniel Bodminster powrócił obszernym, zielonym automobilem, przy pomocy szofera odebrał koszyk swój, umieścił na maszynie i odjechał szybko. Nie uznał za stosowne objaśnić nikogo dokąd zdąża, a nikt się o to go nie zapytał.

Podziemie.

Kiedy Włodzimierz Guzow otworzył oczy, nie mógł sobie jeszcze zdać sprawy, gdzie jest i co się z nim stało. Umysł jego uśpiony i bezczynny nie mógł się zdobyć na myśl żadną. Długą chwilę leżał ogłuszony, pogrążony w jakimś bezładzie i zaniku wszelkich objawów życia.

Po jakimś jednak czasie organizm jego budzić się zaczął. Odrętwiały mózg przejmował zewnętrzne wrażenie. Zauważył przy świetle małej pochodni, przytwierdzonej do stołka, że znajduje się w ciemnem podziemiu, z którego ścian wilgoć ściekała strugami. Zdał sobie również sprawę, że leży na jakiemś nizkiem, bardzo twardem posłaniu.

Długą chwilę męczyło go pytanie, dlaczego nie może dowoli poruszać rękami i nogami. Zrozumiał wkońcu, że przytwierdzony został mocno rzemiennymi sznurami do ścian, wznoszących się nad posłaniem.

Spojrzenia jego pobiegły wokoło: był sam w rodzaju kwadratowej piwnicy, mającej tylko jedne, ciężkie drzwi żelazne. Jedyne okienko w górze ściany założone było deską.

Już teraz życie powracało do jego ciała wraz z możnością rozróżnienia przedmiotów. Uczuł nagle okropną pustkę pod czaszką, silne nudności i bóle w żołądku.

Miał wrażenie za każdem, nierównem uderzeniem serca, że pogrąża się znowu w ciemność tajemniczą.

Jednakże pamięć jego wolno pracować zaczynała, chociaż utrudniał jej tę czynność opar jakiś mglisty i ciężki.

Silnem napięciem woli starał się nagromadzić wspomnienia przeżyć ostatnich i doprowadzić do zrozumienia obecnego stanu. Przez drobiazgowe, pracowite przywoływanie okoliczności i klasyfikowanie drobnych szczegółów z uporem i natężaniem energii i woli, doszedł do uzmysłowienia poszczególnych faktów tego ostatniego dnia.

Przypomniał sobie, że ten dzień był najszczęśliwszy w jego życiu. — W laboratoryum swojem w Saint-Oven, gdzie zajęty był pracą od samego świtu do wieczora, dokonał szczęśliwie ostatniej, decydującej próby, która uczyniła go właścicielem trzech przepięknych kamieni, wielkiej wartości. — Dodatni ten wynik przeszedł wszelkie jego oczekiwania. Pamięta, że chciał natychmiast podzielić się

tą wielką wiadomością z bankierem Versigny. Ale nie udało mu się rozmówić z nim telefonicznie. — Powrócił więc do pensyonatu, odkładając to do dnia następnego, schował starannie drogocenne dyamenty i położył się spać.

Teraz zapragnął nagle przekonać się o ich obecności w kieszonce kamizelki, gdzie je włożył, ale rzemień, przytrzymujący jego ręce, nie dopuścił do ruchu żadnego. Równocześnie Włodzimierz Guzow przypomniał sobie, że zaraz po obiedzie w pensyonacie, obezwładniony zmęczeniem i wyczerpującą radością, poszedł do swojego pokoju położyć się i aby na chwilę nawet nie rozłączać się ze swoim skarbem, owinął go w chustkę i skrył pod materac łóżka.

Dreszcz przerażenia przebiegł go na tę myśl. Te trzy kamienie, które posiadały w sobie wartość całego życia, pozostały tam, w pensyonacie i on nie wie, co się z nimi stać może!

Ta nieświadomość była dla niego okropna!

Bo niechby chociaż wiedzieć mógł, jaka przestrzeń czasu upłynęła od chwili, w której zapadł nagle w sen tak ciężki, do chwili obecnej!

Przypomnienie jakiegoś dziwnego snu zamajaczyło w jego umyśle. Kiedy zasypiał był w laboratoryum swojem w Saint-Oven, buchnęło nagle całe płomieniem! Przed zgliszczami bankier Versigny wykrzykiwał i tańczył, jak szaleniec! Potem wrażenie to ustąpiło. Blask oślepiających płomieni przemienił się w ciemność nieprzebraną. Owładnęła nim niemoc i przygnębienie silne, trwające dotąd jeszcze.

Przykry atak nudności męczyć go zaczął; zdawało mu się, że dusi się, że serce zamiera w jego piersiach.

Kiedy oprzytomniał znowu, miał już tę pewność wyrobioną w sobie, że już nie znajduje się w pokoju swoim w pensyonacie „Europa". Chcąc przekonać się ostatecznie, że nie śni, że to nie wybryk wybujałej wyobraźni, głośno rozwiązywać zaczął trudne jakieś algebraiczne zadanie. Uczucie, że mógł dokonać tego, dodało mu sił nowych.

Ponieważ skonstatował naprawdę, że nie jest w swoim pokoju, tylko w jakiemś podziemiu, przymocowany silnie rzemieniami do posłania i ściany — widocznie musiał tu zostać we śnie przeniesionym. Ale przez kogo? I w jakim celu? Gdyby to się działo w Rosyi, nie dziwiłby się niczemu. Tam niema niemożliwych rzeczy, skoro chodzi o wykazanie wyrafinowanego okrucieństwa i potęgi władzy. Ale tutaj, gdzie nie miał nieprzyjaciół i pracował spokojnie dla przyszłości ukochanej idei?

Ale teraz przypomniał sobie nagle o ostrzeżeniach, uczynionych mu przez bankiera Versigny. I jasno ujawniła mu się, pomimo wyczerpania umysłowego, jedna możliwa hypoteza, tłumacząca wszystko. Tajemnica jego odkrycia podchwycona została! Ta pewność wstrząsnęła nim silnie. I chociaż pewnym był, że zachowywał zawsze podane mu przez pana Versigny środki ostrożności — musiał jednak pomimo woli uczynić coś takiego, co sprowadziło na niego to nieszczęście! W każdym razie obawy Jeroma Versigny nie były płonne. Czuł, że pochwycony został w tajemniczą sieć intryg podstępnych i zemsty.

Ale kto mógł być sprawcą tego porwania go z pensyonatu „Europa" — z miejsca, gdzie się czuł tak bezpiecznym i otoczonym życzliwością wszystkich gości?

Czyżby Archibald Graves.

Archibald Graves, zacięty wróg bankiera Jeroma Versigny!

Ale w jaki sposób mógł to uczynić? Przy czyim niecnym współudziale? Po porządku przypomniał sobie wszystkie osoby, które w tym czasie poznał i z któremi mówił. Która z nich przejąć mogła jego tajemnicę, tak usilnie przez niego strzeżoną?

Odpowiedź przyszła sama z siebie, nie proszona.

Zazgrzytał klucz w zamku i drzwi żelazne otworzyły się z ciężkim łoskotem. Na progu piwnicy stanęła jakaś postać. W świetle, które wbiegło przez otwarte drzwi, Włodzimierz Guzow poznał czcigodnego ojca Nataniela Bodminster. Miał na sobie strój szofera. Przybliżył się do posłania młodego człowieka, trzymając w ręce wielką latarnię automobilową, którą oświetlił twarz leżącego.

Włodzimierz Guzow nie poruszył się nawet.

Po dosyć długiem milczeniu ojciec Nataniel podjął z ziemi nizki stołeczek, przysunął do posłania i usiadł, nie spuszczając wzroku ze swojej ofiary.

— Panie Guzow! — odezwał się wkońcu — Czy zechce mnie pan posłuchać?

Na zapytanie to nie było żadnej odpowiedzi.

— Mój drogi panie — podjął dalej Nataniel Bodminster, nie zrażając się wcale milczeniem młodego uczonego — zapewne się pan dziwi, że się pan tu jnagle znalazł? Przyznaję też panu, że zdziwienie to jest zupełnie uzasadnione. Przychodzę właśnie dać panu potrzebne i pożądane przez pana wyjaśnienia. Ale najsamprzód proszę mi powiedzieć, jak się pan czuje? Czy nudności i ból głowy ustąpiły? Może pan czuje choć cokolwiek apetytu, w takim razie z przyjemnością dostarczę panu szampana, lub bulionu z jajami, żeby się pan mógł wzmocnić.

Czcigodny ojciec Nataniel umilkł, czekając na odpowiedź, ale ta nie nadchodziła. Włodzimierz Guzow leżał bez ruchu, nie usiłując się uwolnić z więzów z twarzą spokojną i nieprzeniknioną. Tylko oczy jego, błyszczące gorączkowo, utonęły badawczo w twarzy mówiącego.

Nataniel Bodminster przyjął pogodnie ten upór.

— Dobrze! Widzę, że niema pan ochoty do rozmowy. Nie nalegam i mówić będę sam dalej. Otóż, kochany panie Guzow, chodzi tu o pewną sprawę. Bardzo ważną sprawę. Pan wynalazł, jak to miałem sposobność przekonania się, sposób wyrabiania dyamentów. Lub też może zdaje się tylko panu, że potrafi pan dokonać tak wielkiej rzeczy. Przy współudziale znanego w Paryżu bankiera, Jeroma Versigny, urządził sobie pan pracownię w stronie Saint-Oven, gdzie oddał się pan różnym doświadczeniom, które zresztą udały się panu znakomicie, bo nawet nie później jak wczoraj — tak, tak kochany panie, spał pan tylko pół dnia, teraz jest godzina trzecia po południu, pan tego nie widzi, bo zasłoniłem okienko piwnicy, lękając się, że pan zechce wołać o ratunek, a przecież nie mogłem dłużej pozostawić pana z zakneblowanemi ustami — otóż powracam teraz do rozpoczętej rozmowy. Nie dalej jak wczoraj osiągnął pan trzy egzamplarze udatnych nadzwyczaj brylantów, które miałem przyjemność znaleźć pod materacem łóżka pana w pensyonacie „Europa". Oto są, pokazuję je panu, żeby pana przekonać, że to są te same.

Czcigodny ojciec Nataniel Bodminster, mówiąc to, wyjął z kieszeni pudełeczko i otworzył je. Na dnie leżały kamienie Włodzimierza Guzowa.

Młody człowiek spojrzał na nie uważnie, lecz nie okazał najmniejszego zdziwienia.

— Otóż — ciągnął dalej ojciec Nataniel — odkrycie pana, według mojego zdania i zdania wszystkich osób uwiadomionych o niem, może mieć znaczenie wszechświatowe. Dlatego też, jak tylko się o niem dowiedziałem, postanowiłem bezzwłocznie przejąć je na swoją korzyść. A najlepszym sposobem dokonania tego zamiaru było głęboko ukryć prawdziwego wynalazcę.

Nataniel Bodminster urwał i zapalił papierosa.

W piwnicy zapanowało dosyć długie milczenie.

— Ciekawy pan być musi, w jaki sposób wpadłem na trop pana tajemnicy! — odezwał się znowu, ale tym razem w głosie jego brzmiało pewne zniecierpliwienie — Nie mam powodu ukrywać tego. Stało się to przypadkiem. Znajdowałem się w Paryżu w pensyonacie „Europa", dokąd sprowadziły mnie sprawy prywatnej natury i nic nie wiedziałem o istnieniu pana. Jednakże jak tylko ukazał się pan w pensyonacie, zaciekawiłem się pana osobą i stu dyować go zacząłem. Muszę zaznaczyć, że jestem z powołania badaczem i wszędzie szukam coś do zrobienia. Zwróciłem więc uwagę na pana, badałem i doszedłem do wniosku, że pan żyje w ciągłej ostrożności, jak gdyby się pan obawiał zdradzenia się. Manipulacya z omnibusami jest bardzo użyteczna, przyznaję, ale trzeba wszystko robić konsekwentnie. Nie należy zatem porzucać na stole swojego pokoju biletów, zakupionych zawsze do jednego miejsca przeznaczenia: „Saint Oven" — rozumie pan?

No i jednego dnia pojechałem za panem. Poznał mnie pan nieprawdaż w przebraniu szofera automobilowego?

Odkryłem więc laboratoryum pana i domyśliłem się zaraz, jakim pracom się pan tam oddaje. Zresztą dopomogli mi trochę robotnicy pana, z którymi chodziłem niekiedy na szklankę wina do baru naprzeciwko.

Przybycie bankiera Versigny do pensyonatu i urywki jego rozmowy z panem oświeciły mnie zupełnie i potwierdziły moje przypuszczenie. Ponadto wiedziałem, że jeżeli bankier Versigny, człowiek tak zajęty i wpływowy, przychodzi do pensyonatu odwiedzić młodego uczonego — to chodzić mu musi o rzecz wielkiej wagi.

W tych okolicznościach więc postanowiłem porwać pana i uprowadzić jak bohaterkę sensacyjnego romansu, bo nie widziałem innego wyjścia, chcąc wniknąć w tajemnicę odkrycia pańskiego. Chodziło mi o cel, a środki były całkiem obojętne. Przypuszczam bowiem, że nie był pan na tyle naiwnym, aby zwierzyć się z tem komukolwiek, nawet panu Versigny. Powiedział mu pan, że doszedł do odkrycia możliwości fabrykowania dyamentów, ale zbyteczne mu było powiedzieć, jakiemi drogami pan do tego doszedł — nieprawdaż?

Obecnie znajduje się pan u mnie. Jest to niewielka posiadłość, otoczona lasami. Nie potrzebuję dodawać, że zabezpieczyłem się całkowicie przed chęcią ucieczki, która w tych warunkach jest wprost niemożliwa. Niech pan wie tylko, że znajdujemy się w miejscu bardzo ukrytem, gdzie ani pan Versigny, ani policya całego Paryża dotrzeć nie będzie mogła.

A teraz skoro pan wie już wszystko i zapewne wyrobił sobie zdanie z właściwą sobie bystrością, oto czego żądam od pana:

Czy chce mi pan opisać — na ten cel uwolnię z więzów prawą rękę pana — wszystkie szczegóły i materyały potrzebne oraz sposób, jakim pan doszedł do wytworzenia dyamentów?

W razie, jeżeli się pan zgodzi, mając w ręku te objaśnienia, oddam je do dyspozycyi ludzi przezemnie wybranych, których pracą pan kierować będzie. Jeżeli rezultaty okażą się szczęśliwe, powrócę panu wolność i wynagrodzę stosownie do żądania pana. Naturalnem jest, że pan dotąd nie widzi w niczem gwarancyi dotrzymania słowa, jeżeli pan pójdzie za moją propozycyą.

Przyznaję, że tu właśnie jest punkt najsłabszy. Musi mi pan zawierzyć, bo nic realnego uczynić nie mogę, a co do ufności tej względem siebie nie mogę mieć żadnych złudzeń, zważywszy dotychczasowe moje postępowanie.

Ale pan może mi zaproponować podstawy tej gwarancyi: jeżeli są tylko wykonalne, uznam je i podpiszę chętnie.

A zresztą, kochany panie Guzow, czy pan posiada możność wyboru? Przecież pan to dobrze rozumie? Na wypadek, gdyby mi pan odmówił, pozostaje pan więźniem moim. Przenieść pana gdzieindziej nie mogę — tutaj więc sam donosić będę panu pożywienie i czekać będę cierpliwie na lepsze usposobienie pana względem moich projektów.

Czcigodny ojciec Nataniel Bodminster zamilkł znowu, zacisnął wąskie usta i zagłębił się w oglądaniu sklepienia piwnicy, przybierając postawę osoby zrezygnowanej na dłuższe, cierpliwe oczekiwanie.

Ale odpowiedź nie nadchodziła.

Ojciec Nataniel wyjął zegarek z kieszeni i znacząco spojrzał na nieugiętego przeciwnika swojego.

Ale Włodzimierz Guzow posiadał zbyt męską duszę i zblizka już śmierci spoglądał w oczy, aby zmięknąć i przyjąć warunki tego targu. — Myśl o ustępstwie nawet na chwilę nie powstała w jego głowie. Poza tem czuł niezmierną pogardę dla tego nędznika, a nie mogąc mu narazie inaczej ujawnić tego uczucia, postanowił upokorzyć go milczeniem.

I w piwnicy panowała dalej cisza, niczem nie zamącona. Przerywały ją tylko dwa ciężkie oddechy — bo czcigodny ojciec Nataniel po kilku minutach naprawdę już niecierpliwić się zaczął.

Uczuł nagle, że musi zrobić jakieś ustępstwo, jeżeli chce doprowadzić młodego człowieka do swoich zamiarów.

— Proszę mnie posłuchać jeszcze, panie Guzow — zaczął łagodnym, życzliwym głosem — rozumiem, że pan nie może dać zaraz stanowczej odpowiedzi i potrzebuje pan odpocząć i skupić myśli. Ja poczekam. Powrócę dopiero wieczorem. Tutaj na wysokości pana głowy stawiam czarkę z wodą. — Jeżeli pan uczuje pragnienie, to może pan tylko wykręcić głowę i napić się. Pan mi wybaczy, że nie uwalniam go jeszcze z więzów, ale pan sam jest winien tej zwłoce. To panu dopomoże w każdym razie do powzięcia postanowienia. Zegnam pana.

I ojciec Nataniel odszedł, zamykając na klucz ciężkie drzwi za sobą.

Odgłos jego kroków długą jeszcze chwilę brzmiał w podziemiu.

Włodzimierz Guzow zagłębił się teraz w ciężkich rozmyślaniach. Jednakże myśli jego nie biegły w kierunku pożądanym przez Nataniela Bodminster. Krążyły one smutne nad nieziszczonem marzeniem całego życia.

Bo teraz rozumiał jasno, że to nieodwołalne zamarcie wszystkich jego pragnień, dążeń i rojeń o lepszej przyszłości. Niemoc fizyczna wzrastająca z każdą chwilą potęgowała jego przygnębienie moralne. Myśl o bankierze Versigny stawała mu się najprzykrzejszą. Bo i cóż mógł pomyśleć ten człowiek, który z taką szlachetnością poparł jego marzycielską sprawę?

Co powie, kiedy się dowie o jego zniknięciu? Przypisze je zapewne wpływom sir Archibalda Graves, tak jak on sam sądził to w pierwszej chwili.

I nigdy nie dowie się prawdy! W ten sposób poszukiwania jego od początku pójdą w mylnym kierunku.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Msza polowa.



Uroczystość wojskowa w Bronowicach: Grupa odznaczonych podoficerów żandarmeryi. W środku siedzą: radca nam. Kowalikowski, komendant żandarmeryi fortecznej nadp. Sandig (po lewej stronie) i komendant żandarmeryi krakowskiej rotm. Dimmel (po prawej)

Janina Korolewicz-Waydowa.

Świetna, primadonna operowa p. Korolewicz-Waydowa, po tryumfalnem tournée artystycznem po Ameryce i Australii, entuzyastycznych przyjęciach obecnego sezonu operowego we Lwowie, wystąpi raz jeden w „Wieczorze Operowym" na scenie teatru miejskiego dnia 19 czerwca bieżącego roku.

Prócz wielkiego artystycznego zadowolenia, jakie sprawia zapowiedziany występ artystki tej miary, co p. Korolewicz, będzie można podziwiać istotną świetność, cieszącą się wszechświatowym rozgłosem. Przykład niedoścignionego wzoru, pełni talentu i do ostatnich granic posuniętej umiejętności jak najświetniejszego belcanta, co z pełnym uznania aplauzem podnoszą: „Sydney Morning Herald", „Daily Mail", „Boston Journal", dzienniki berlińskie, petersburskie i nasze, sprawia, że p. Korolewicz jest źródłem zawsze nowych wrażeń artystycznych. Pani



Święto „Czwartaków": Komik pułkowy sierżant Pitala wygłasza na scenie przemowę w imieniu „andrusów" krakowskich

Korolewicz gościła w najwybitniejszych operach zagranicznych. Dość wymienić: Grand Opera Company, Metropolitan Opera House, Boston Opera, pomijając inne, w których postaciami bohaterek Wagnerowskich, Meyerberowskich, Verdiowskich, Massenetowskich znaczyła ślady swej sławy i uznania dla imienia polskiego.

Do najwybitniejszych kreacyi zaliczyć należy partyę z „Afrykanki", „Lohengrina", „Tannhäusera", „Cyda", „Demona", „Madame Butterfly", „Halki", „Żydówki", „Toski", „Aidy" i „Trubadura", które złożą się na wspomniany „wieczór operowy".

Trzeba wprost podziwiać wyjątkowo szczęśliwe warunki, które artystkę postawiły na piedestale tej sztuki, której urok nie gaśnie i wdzięk postaci się nie opatrzy, żyjąc w tradycyi wspomnieniem Mierzwińskiego i Kochańskiej.

W koncercie, jako pianistka, wystąpi p. Helena Ottawowa, która wspólnie z p. Janiną Korolewicz-Waydową zbierała laury za granicą.

Niewątpliwie Kraków skorzysta ze sposobności respiracyi prawdziwą sztuką, której, w myśl zasady *inter arma silent Musae,* obecna chwila nam uszczupliła.

„Wieczór Operowy", jak dowiadujemy się, powtórzony będzie w Białej, Zakopanem i Tarnowie.

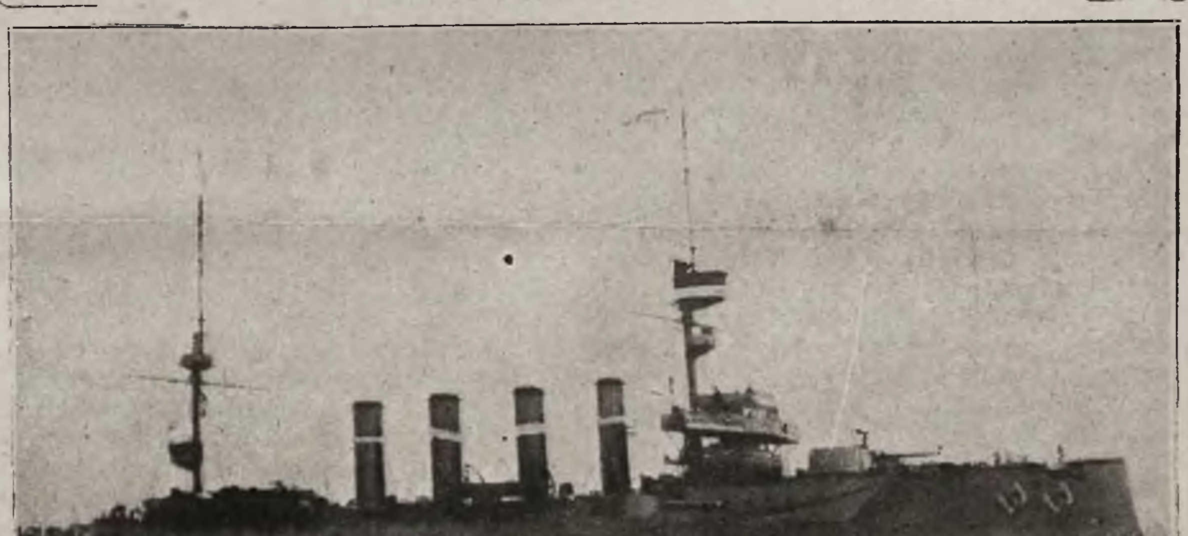


Janina Korolewicz-Waydowa.

Dla podniesienia rękodzieła.

Ażeby zakłady rękodzielnicze mogły funkcyonować należycie, kierownicy ich muszą posiadać nie tylko wyszkolenie fachowe, ale i konieczną znajomość gospodarki handlowej. Ażeby w tym kierunku dać naszym rękodzielnikom potrzebne wiadomości, urządzane są od czasu do czasu kursa buchalteryi kupieckiej. Taki kurs urządzony został niedawno przez dyrektora Patronatu przemysłowego dra Schönneta, z ramienia Wydziału krajowego, dla modystek, krawczyń i krawców. Po ukończeniu kursu otrzymali uczestnicy świadectwa.

Na kursie tym, który trwał od 21 lutego do końca maja, wykładali: dr. Żabiński, który uczył o handlu i wekslach oraz korespondencyi, dyrektor Henryk Wacięga (rachunki kupieckie) i prof. Kazimierz Zimowski (buchalterya).



Tragiczny zgon angielskiego ministra wojny: Okręt wojenny „Hampshire", który zatonął z lordem Kitchenerem i jego sztabem

Kronika tygodniowa.

Wojna obecna wpłynęła ujemnie i na tradycye narodowe. Zamiast siedzieć, jak to czyniłem w tym czasie po inne lata w cieniu drzew bielańskiego lasu i rozkoszować się przywiezionym ze sobą pilznerkiem, świergotem ptasząt i gruchaniem par zakochanych, dziś, w sam dzień Zielonych Świąt rozpieram się wygodnie przy biurku redakcyjnem, choć mam przed sobą flaszczynę, ale niestety, tylko z atramentem.

Żyje człowiek tylko wspomnieniami przeszłości i cieszy się nadzieją, że przecież może to już ostatni rok tej mizeryi, jaka nas nęka.

A tu, jak na złość, święty Medard był stosunkowo dość względnym i przeszedł prawie sucho, chociaż bowiem padał deszczyk rano i kropił lekko wieczór, ale to tylko na prośbę Zakładu czyszczenia miasta, który nie rozporządza należytą liczbą zaprzęgów, by módz codziennie porządnie skrapiać ulice. Zostawia to niebiosom i często bardzo bywa wysłuchany. Można więc żywić nadzieję, że będziemy mieć stałą pogodę przez dni czterdzieści, czasem tylko przerywaną deszczem, co pozwoli pomyślnie ukończyć sianokosy. Gdyby więc człowiek był koniem lub krową, mógłby się cieszyć, że jedzenia mu nie braknie, ale cóż robić, skoro żywienie się sianem jeszcze się między nami nie przyjęło, choć czytałem, że gdzieś tam w Niemczech jakiś pomysłowy przedsiębiorca wypiekał chleb z trocin i słomy, a przed sądem się tłumaczył, że to ludziom bardzo smakuje i żołądka nie obciąża tak, jak ów klajster, który kupuje się w piekarniach za okazaniem karty chlebowej.

Jeśli więc naprawdę pogoda dopisze (święta Barbara kiwa nas pod tym względem od lat już kilku), świętemu Medardowi będziemy mieli do zawdzięczenia, że uda się zbiór pokrzyw, za których łodygi suszone płacą po sześć koron za sto kilogramów. W wolnych chwilach, o ile zdrowie, czas i pogoda pozwoli, mam zamiar wraz z całą rodziną wybierać się za miasto na pokrzywy, by choć w ten sposób łatać dziury budżetu domowego, który zgryzła wojna, niczem mole mój stary anglez, pamiętający jeszcze czasy wolnego miasta Krakowa. Kazano także zbierać liście ożyny i poziomek, w Krakowie jednak o nie trudno, daleko zaś łatwiej spotkać się z pokrzywą. Dziwię się, że zarząd ogrodów miejskich nie posiał ich tego roku więcej na plantacyach i w ogrodach miejskich. Także Błonia nadają się do tego najzupełniej.

Pokrzywa wznosi dziś dumnie głowę do góry, jedynie wojnie zawdzięczając, że poznano się na jej zaletach i zdaje się wobec tego chętnie da się policzyć w szereg tych, co pragną, by wojna tak prędko się nie skończyła, bo zrobili na niej dobry interes i jeszcze robią, a pragnęliby robić jak najdłużej.

Czas więc obecny, znajdujący się pod znakiem tłuszczu z pomyj, może także zupełnie słusznie być nazwanym wiekiem pokrzywy, a o ile pamięć moja sięga, tego rodzaju okresu nie było dotąd ani w historyi, ani w literaturze.

Skoro zmuszono człowieka do tego, by zerwał z dawnemi tradycyami i Zielone Święta spędził w mieście, a nie na Bielanach, trzeba było szukać jakiego takiego rozweselenia. Wycieczka do oazy „pod Palmą“ jest w tym wypadku bardzo wskazaną, gdyż tu'aj poznaje się wielu obcych, którzy przybyli Kraków zwiedzić, ludzie pobożniejszego ducha, starzy Krakowianie, choć nawet liczący się do demokratów, ale przecież konserwatywnie usposobieni, wolą odcinek „pod Obrazem“, więcej spokojny i przypominający dawne, lepsze czasy. I innych, podobnych lokali nie brakuje, znajdziesz ich po kilka przy każdej ulicy, ale tamte dwa mają się do nich, jak uniwersytet do szkoły ludowej.

Opowiadano mi, że pewien obywatel z okolicy, przybywszy do Krakowa wraz z całą rodziną w celu zwiedzenia osobliwości miasta, ze względu na brak czasu w ten sposób się urządził, iż sam cały dzień przesiadywał w wymienionych wyżej lokalach i jeszcze innych, żonę wysłał na zwiedzanie kościołów, córki zaś do muzeów, bibliotek, na wystawę i t. d. Wieczorem schodzili się wszyscy razem w hotelu i dzielili odniesionemi wrażeniami, przyczem stale okazywało się, że najbardziej zadowolonym ze siebie był papa dobrodziej, a cała rodzina mu do tego stopnia zazdrościła, iż na trzeci dzień wszyscy razem znaleźli się już rano „pod Obrazem“.

Kraków ma swoje osobliwości, godne zwiedzenia, a mające to do siebie, iż, im częściej się je ogląda, tem więcej znajduje się w nich powabu, ale trzeba wiedzieć, jak się urządzić, by właśnie trafić tam, dokąd miało się pójść ochotę, a nie gdzieindziej. Pod tym względem brakuje nam porządnego przewodnika dla turystów, wszystkie bowiem istniejące dotąd, nie wyczerpują należycie materyału, widocznie nie pisane przez fachowców. O ile mi czas na to pozwoli, po wojnie zajmę się opracowaniem podobnego dzieła i jestem pewny, że zyskam niem nieśmiertelność, choćby mnie nawet nasza Akademia w poczet swych członków zaliczyć nie chciała.

Wszak i ś. p. Lucyna Ćwierciakiewiczowa w podobny sposób dorobiła się niespożytej sławy. Przynajmniej ja stawiam ją na pierwszem miejscu między piszącemi kobietami, utwory jej bowiem są i smaczne, a co najważniejsze i lekko strawne! Pod tym względem jeszcze nikt na nię nie narzekał.

Dziś kobiety nowoczesne w inny sposób dochodzą do sławy. — Ot, weźmy taką Sarę Bernhardt. Aczkolwiek wieniec bobkowych liści zdobi już dawno jej głowę, bojąc się by nie zwiędnął, wybrała się po długich a dolegliwych staraniach na front bojowy i tam wraz z swą trupą dała kilka przedstawień. Aby jednak doznać nerwowego podrażnienia (w tym wieku, co ona, sztuczne podrażnienie jest nawet wskazanel) prosiła, by jej pozwolono udać się do najdalej wysuniętych okopów, skądby mogła na własne oczy ujrzeć wrogów i na własnej skórze poczuć doniosłość i celność ich strzałów.

I na to się zgodzono. Niemcy jednak akurat po zostawali w tym czasie w najzupełniejszej bierności. Być może, że wiedzieli o odwiedzinach i nie chcieli przeszkadzać.

Pani Sara była jednak niezadowoloną z tego, rzekła też do swego otoczenia:

— Ach, jaka szkoda, że tu Niemców niema!

— Dlaczego? — zapytano.

— Zaczęłabym zaraz strzelać!

— Ze złości, czy ze strachu?

— Naturalnie... ze złości!..

— A ma pani dobrodziejka przy sobie jakie śmiercionośne narzędzie?

— Ciekawa jestem, poco? Artystka tej miary, co ja, potrafi strzelać i bez pistoletu!

Gdy się o tem bohaterstwie dowiedział pan Gabryel d'Annunzio, wysłał do pani Bernhardt natychmiast telegram gratulacyjny, który zakończył słowami: „Proszę być pewną, że na coś podobnego nawet ja bym się nie był zdobył. Imię pani przejdzie do potomności!“

Jeśli więc Niemcy wiedzieli, że pani Sara Bernhardt znajduje się obok i nie strzelali, to okazali w ten sposób wielki zasób galanteryi wobec dam, a że są do tego zdolni, wnoszę to z owego rozporządzenia co do rozmiarów sukien damskich, o czem w poprzedniej kronice obszernie, jak na to takie szerokie suknie zasługują, wspomniałem. W rozporządzeniu tem powiedziano wyraźnie: „dzieci i podlotki do lat dwudziestu jeden“. Proszę mi pokazać Francuza, a wiadomo, że dotąd w galanteryi prym oni wiedli, któryby panienkę, przeszło dwudziestoletnią, choćby ona nosiła najkrótszą sukienkę i udawała jak najniewinniejszą, nazwał podlotkiem. A przecież zrobili to Niemcy, których ci sami Francuzi nazywają barbarzyńcami.

Nie myślę się nad tem zbyt długo rozwodzić, bojąc się, by mnie znowu nie pomówiono o germanofilstwo, choć ja zaznaczam to tylko z obowiązku kronikarskiego, starając się każdemu oddać to, co mu się słusznie należy. Zwróciła zresztą na to moją uwagę pewna panienka, która ogromnie była zadowoloną użyciem tego słowa „podlotek“. W liście, wystosowanym do mnie, zapytuje, do którego roku życia obowiązuje ten tytuł w Niemczech, ma bo wiem zamiar tam się przenieść po wojnie i nie wie, czy ma prawo do tej tytulatury. W dopisku zawiadomiła mnie, że ukończyła już lat trzydzieści sześć, zapomniała jednak dodać, jak dawno.

Odpisałem, że tytuł „podlotek“ powyżej lat dwudziestu może być używany tylko w czasie wojennym, po zawarciu pokoju ulegnie natomiast zmianie.

Aby nie ściągać na swą łysą głowę gromów, nie wspominam też obszerniej o bitwie morskiej niedaleko Skagerraku, inaczej bowiem zapatruję się może na nią i na jej skutki, niż niejeden z naszych tak zwanych uprzywilejowanych polityków. Są to panowie, którym jedynie wolno mieć swoje zdanie, uzasadnione, czy nie, to mniejsza, reszta musi, a przynajmniej powinna iść za nimi. Ja tam jestem innego zdania, na świat i życie zapatruję się przez własne okulary i nie lubię *iurare in verba magistri*, zwłaszcza jeśli ten „magister“ mógłby jeszcze wstąpić do mnie do terminu, a wieleby skorzystał!

Otóż, przyznam się szczerze, że Anglików lubię i nie lubię i to od lat najmłodszych. Lubiłem ich, ponieważ wynaleźli cukierki angielskie, a tych nałykałem się sporo swojego czasu, znienawidziłem ich zaś, ponieważ od nich wyszła tak zwana „angielska choroba“, o której dość się nasłuchałem, choć na nią, dzięki Bogu, nie cierpiałem.

I dziś jest to samo. Imponują mi swym zmysłem kupieckim i obrotnością, z drugiej jednak strony zrażają mnie swą bezwzględnością. Dotąd uważali się sami i uważał ich cały świat za panów morza, na wodzie niezwyciężonych, dziś ta aureola zgasła, pokazało się, że tak samo, jak każdy inny, mogą dostać po skórze i to na mokro. Ubolewam też z tego powodu nad nimi, żal mi ich serdecznie, z drugiej znów strony irytuje mnie ta pewność siebie i wykręcanie kota ogonem do góry. Zastrzegają się bowiem, że „nie była to klęska, ale dotkliwy cios“. Być może, że był to cios, ale dzięki niemu poniosło klęskę ich światowe znaczenie na morzu. Jeśli zaś do tego doda się tragiczny koniec Kitchenera, przyzna mi chyba każdy nieuprzedzony, że przypominają się lekko losy owej Filipowej (ale nie z Konopi!) Armady, która uchodziła w swym czasie też za niezwyciężoną, a przecież ani śladu z niej nie zostało.

Anglia zajęła dziś miejsce owej dawnej Hiszpanii, czy je utrzyma i nadal, zobaczymy.

Pocóż zresztą zajmować się sprawami Anglii, lub innego państwa, skoro możemy szeroko i długo pisać o tem, co nas bolii co nam bezpośrednio dolega, ot, choćby nawet o reaktywowaniu krakowskiej Rady miejskiej, o co starają się różne koła radcowskie, nie mogące już wytrzymać bez gadania w sali pałacu Wielopolskich. Czy to jednak miastu samemu zda się na co, w to wątpię.

A i na tem polu nie zgadza się ze mną większość mych kolegów po piórze, ale ja już jestem taki, że sobie nic z tego nie robię, chwalę Pana Boga, jak umiem i przygotowuję się do ogłoszonego przez władze „spisu jaj“, który ma być ostatnią sezonową nowością.

Na zakończenie muszę się podzielić z Czytelnikami smutną wiadomością, że krakowska Akademia Umiejętności nie poznała się na mnie, wbrew bowiem oczekiwaniom nie otrzymałem żadnej nagrody, ani za moje kroniki, ani też z fundacyi ś. p. Jerzmanowskiego. Ale ja już do nagród nie mam szczęścia, tak samo jak do wygranej na loteryi, jestem pewny, że gdybym był koniem wyścigowym, nie stanąłbym nigdy pierwszy u mety.

Zagadki do nagrody.

Łamigłówka literacka.
Ułożył Cz. Krüger, Stanisławów.

Znaleźć nazwiska autorów wyszczególnionych niżej dzieł. Początkowe ich litery, czytane z góry na dół, utworzą nazwę znanego związku politycznych zapaleńców w jednem z państw Europy

Hedda Gabler?
Życie Jezusa?
Nowa Heloiza?
Listy do Zygmunta Starego i polskich humanistów?
O powstawaniu gatunków?
Bajki?
Poza dobrem i złem?
Jerozolima wyzwolona?
Serce?

Kwadrat magiczny.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Litery tak poprzestawiać, aby utworzyły cztery wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a b b
d e k k
o o p r
r r u u

Znaczenie wyrazów: 1 Rzeka w Hiszpanii 2 Utrwalenie drogi. 3. Metal, połączony z innym minerałem. 4 Inaczej dach.

Szarada.
Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Pierwsze-trzecie wyrażenie
Jest czysto muzyczne,
Drugie rzeka, ma dopływy
Stosunkowo liczne
Całość rządzi miastem, krajem
Nie jak pokoju zwyczajem.

Równanie.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Odpowiednio odgadnięte wyrazy mają mieć tyle zgłosek, ile ich wskazuje mianownik. Z każdego należy wyjąć jedną syllabę, a otrzymamy imię i nazwisko polskiego literata, znakomitego tłumacza dzieł klasycznych

$$\frac{a}{2}+\frac{b}{3}+\frac{c}{3}+\frac{d}{4}+\frac{e}{2}+\frac{f}{5}=x.$$

Znaczenie wyrazów: a) Roślina lekarska. b) Inaczej słuszność. c) Maleńka rzeczpospolita w Europie d) Kara w Rosyi. e) Odłamek skały. f) Wspaniałe dzieło najnowszej techniki.

Logogryf.
Ułożył E. Winter, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy imię i nazwisko znakomitego polskiego kompozytora.

□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Dawny wyraz na określenie porcelany. 2 Rodzaj roślin żabieńcowatych. 3 Litera. 4. Oddział wojska 5 Wywóz. 6. Znana miejscowość z bitw Legionów. 7 Półwysep w Ameryce. 8. Mieszkanie 9. Obuwie 10 Bohaterstwo. 11. Broń. 12 Sprzeciwienie się. 13. Złudzenie. 14. Pozbawienie wolności.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Och! Ach! Tę Zosię u Tosi bił o kota.

Grzebieniówka.
Ułożył Cz. Krüger, Stanisławów.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby w pionowych szeregach powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd poziomy utworzy nazwę bardzo popularnego polskiego tygodnika

□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1 Urząd 2 Prowincya niemiecka. 3. Ptak drapieżny (z rodz sępów). 4 Spis sprzętów. 5 Miasto w Anglii 6 Pismo królewskie 7 Szerzenie postrachu. 8 Bryła 9 Inaczej przedpłata. 10 Inaczej wstrzemięźliwość.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Noc! Kozioł kwili, że jego sęp je z ziemi krzywy łup Tera.

Bilety wizytowe.
Ułożył J. Przecławski, Podgórze.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

HAMNECKI

HAMLECKI.

NEPT ORSKI

T. NERSKI

HORTYSKI

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 23.

Szarada: Zosieńka.

Kwadrat magiczny:
I t a k a
T y r o l
a r e n a
k o n a r
a l a r m

Równanie:
Kanaan + anatomia + Niniwa = Antoni
Kaolin + radyum + niecka = Odyniec
Referat + policyant + cyranka + katarakta = Felicyta.

Logogryf:
Z a m b e z i
Y u k a t a n
G a l i c y a
M a k a r o w
U j e j s k i
N e m e s i s
T a k t y k a
S a l e r n o
Z ł o t n i k
W a t y k a n
A b r a h a m
R a k i e t a
Z w i n g l i
E l e k c y a
N i a g a r a
S i e r a d z
T e l e f o n
E r z e r u m
I n f u ł a t
N o w e l l a

Zadanie do przestawienia: Komu święta, to święta, a brzuch zawsze o głodzie pamięta.

Kwadrat magiczny:
N a r e w
a r e n a
r e c e s
e n e m a
w a s a l

Zadanie do przestawienia: Jak stary bierze młodą, złego nie odegna i święconą wodą.

Szarada: Planty

Bilety wizytowe: Bajkopisarz Sklepikarz Instruktor Naczelny redaktor Kasyer banku.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim, S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, K. Borowiecki Lwów, M Golska Wiedeń. M Raczyńska Lwów, S. Zaleski Czerniowce, W. Nowiński Tarnów, R Wójcik Przemyśl, Z Małecki Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała p. **M. Kowalska Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Z półek księgarskich.

Leon Żypowski. Z krwawych dni 1914—1915 Lwów 1916 Nakład autora. Z drukarni „Prasa". 30% czystego dochodu na rzecz funduszu wdów i sierót po Legionistach.

Zbiorek krótszych i dłuższych poezyi, odnoszących się treścią do smutnych przeżyć wojennego czasu (Ostatni raport, Tułaczej dziatwie na kolędę, Obrońca gór, Pasterka w Mołotkowie, Nad trumną Legionisty i t. d.), a odznaczających się poprawną formą i treścią, która po prostu łzy z oczu wyciska. Zwłaszcza ostatni dłuższy utwór p. t „Jędrusiowa dola", kreślący losy biednego wieśniaczego dziecka, którego ojciec potyka się gdzieś z wrogiem, a matka z jedynym swym synkiem ginie na tułaczce na zaraźliwą chorobę, jest nad wyraz rzewny. Los biednego Jędrusia, to los tysięcy biednych naszych uchodźców, których burza wojenna wyrzuciła z pod rodzinnej strzechy.

Książka zasługuje rzetelnie na pochwałę i na jak najszersze rozpowszechnienie

Nakładem *Naczelnego Komitetu Narodowego* opuściła prasę drukarską następująca publikacya:

Legiony polskie, 1914, według oryginałów Wojciecha Kossaka. Pięć kartonów, zawierających reprodukcye różnych gatunków broni, wchodzących w skład Legionów polskich.

Odbite drukiem wielobarwnym na pięknym papierze, album niniejsze może być ozdobą każdego polskiego domu i nigdzie go braknąć nie powinno Nazwisko autora wystarczy za wszelką reklamę

Kącik humorystyczny.

Trudne wyjście.

— Pieniędzy wam nie dam, gdyż żebrakom z zasady tak nie dopomagam, ale mogę ci pomódz w znalezieniu pracy. Czem jesteś z zawodu?
— Grabarzem!

Nasze dzieci.

— Słuchaj, Stefka! — mówi mały Jaś do siostrzyczki — Czy ty wiesz, że mama chce wziąć z tatusiem rozwód?...
— Głupiś! — odpowiada z dumą Stefcia — Naturalnie, że wiem! Psecie to ja sama doladziłam mamie!...

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego